Nr. LII Maj 1937

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WYDAWCA i REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

Druk. „Lech“ Koszykowa 33. Tel. 8-90-66.

2

T R E Ś Ć :

Panika polskich socjalistów przed »Naszą Przyszłością«

Ilekroć wyjdzie nowy zeszyt „Naszej Przyszłości", zawierający jakieś mocne, lapidarne enuncjacje lub tezy, wówczas z matematyczną pewnością ukazują się wielkie artykuły wstępne, pod sensacyjnymi nagłówkami, w koncernie trzech naczelnych gazet socjalistycznych, w Robotniku, Naprzodzie i Gazecie Robotniczej, dzwoniąc na alarm i waląc niemiłosiernie we wszystko, co Nasza Przyszłość napisze, a przedewszystkiem w osobę jej wydawcy.

Styl, ton i prawdomówność tych socjalistycznych ataków podpisywanych w ostatnich latach przez naczelnego publicystę polskiego socjalizmu, tow. Czapińskiego, nie pozostawiają nic do życzenia z punktu widzenia zasad „rewolucyjnego sumienia", oraz z punktu widzenia „twardej pięści mas pracujących", która to niby ma rozbić niecny ustrój burżuazyjno-kapitalistyczny. Każdy ustęp, każde zdanie, każde słowo, dotyczące Naszej Przyszłości i jej wydawcy, są w tych atakujących artykułach nietylko błędne, ale wprost odwróceniem rzeczywistości, dokonywanem z dobrze wyrachowaną premedytacją. Nie czytywaliśmy w innej prasie atakujących nas artykułów, w których by wszystko, od początku do końca — od tytułu do ostatniej kropki — było tak dalece przekręceniem i odwróceniem prawdy, jak to widzimy w alarmowych enuncjacjach tow. Czapińskiego.

W gruncie rzeczy jesteśmy mu jednak obowiązani do wdzięczności. Wypadami swymi robi nam bowiem kolosalną, bezpłatną reklamę. Bo przecież trzy gazety socjalistyczne, nieźle zresztą redagowane, wędrują z rąk do rąk w kraju i zagranicą wśród setetk tysięcy czytelników, zarówno wśród krwiopijczych sfer inteligenckich, jak i „uciśnionego wyzyskiem" ludu pracującego.

Należałoby więc po sprawiedliwości, mianować tow. Cza-

pińskiego wielkim heroldem Naszej Przyszłości, gdyby nadawanie takich godności było w naszej mocy.

Aby czytelnikowi naszemu, nie znającemu prasy socjalistycznej i pisarskiego talentu tow. Czapińskiego, przedstawić próbkę jego taranowego rozmachu, z jakim w Naszą Przyszłość wali, przytaczamy przedewszystkiem w całości jego artykuł z 30 marca b. r., zamieszczony we wspomnianym koncernie trzech gazet, jako niby odpowiedź na treść kilku artykułów Naszej Przyszłości z lutego b. r. Przytaczamy atak przeciwnika w całości dlatego, iż wierni jesteśmy głoszonej przez nas zasadzie dokładnego, uczciwego podawania czytelnikom naszym tych cudzych enuncjacji, z któremi mamy zamiar polemizować.

Inaczej niestety postępują z nami nasi przeciwnicy z różnych obozów i dzienników politycznych, którzy kłamliwie, nieuczciwie, oszczerczo rzucają się raz po raz na nas z zarzutami o rzeczy i zamiary, których wcale nie mamy i których wcale w wydawnictwie naszem niema, ale które gwałtem i perfidją — przekręcaniem naszego tekstu — chcą nam w oczach opinii publicznej wkładać w usta rozmaite partyjniki prawicowe i lewicowe. Oto dosłowny tekst bombowego artykułu tow. K. Czapińskiego, zamieszczony nawet z wiernem zachowaniem najnowocześniejszej ortografji i interpunkcji, której — jak wiadomo— Nasza Przyszłość zupełnie nie uznaje:

„ZA MORDĘ JĄ, ZA MORDĘ“!!!
NATURALNIE — PRASĘ (I PARTIE).

Pisaliśmy już parę razy o p. Janie Borzyńskim, o jego piśmie „Nasza Przyszłość i o jego grupce, nazwanej szumnie „Związkiem Polskiej Myśli Państwowej“ (w Polsce lubią napuszone, nadęte tytuły i nazwy). „Ideologia“ tej grupki jest nad wyraz... uboga: chodzi przede wszystkim o podział Czechosłowacji, o wspólną granicę z Węgrami; stąd orjentacja antyfrancuska („państwa hasełkowe“!) i prohitlerowska — bo bez Hitlera „podziału Czechosłowacji“ się nie przeprowadzi; poza tym ma ultra-konserwatywne, ziemiańskie „nastawienie“.

Gdy pisywaliśmy o tej grupie, zawsze mieliśmy wrażenie, że robimy jej niepotrzebną zgoła reklamę... ale chodziło nam nie o grupkę, lecz o 1) ujawnienie mentalności pewnych kół, 2) prześwietlenie konsekwencyj pewnych stanowisk, formułowanych gdzieindziej bardziej powściąglwie. I dziś piszemy o tej grupce, właśnie w tych dwuch celach.

Przed nami znów „Nasza Przyszłość“ (Nr. 50). Ale jakżeż — biedaczka — schudła, jak zmizerniała! Z tłustej, grubej, pękatej, stała się chuda — chuda! Redakcja wyjaśnia, że zmienia formę wydawnictwa — chce bombardować społeczeństwo broszurami — „gradem odpowiednio skonstruowanych broszur“. Otóż numer 50-ty jest pierwszą taką broszurą,

poświęconą partiom i prasie. Redaktor poprostu wpadł w szał, inaczej tego niepodobna nazwać. Ciska się na prasę w okropny sposób, woła o pomstę do nieba (i do Rządu przede wszystkim), wymyśla, tupie nogami i miesza prasę z błotem. Taka jest treść broszury, utrzymanej w tonie poprostu — nieprzyzwoitym.

Na początku mamy rozprawkę o partiach. Żadna partia, powiada pismo, na serio nie myśli o realizacji swego programu: czy chadecy myślą poważnie o realizacji zasad chrześcijańskich? albo socjaliści o budowaniu socjalizmu? Bynajmniej. Rzecz się faktycznie sprowadza do rzeczy poziomych i oportunistycznych — do walki o władzę, o mandaty, o stanowiska. „Monopartię" autor zresztą też odrzucą. Cóż więc pozostaje? Oto powiada — „nowa forma", obiektywna"(?), organizowana właśnie przez grupę „N. Przyszłość", mianowicie formułowanie szeregu kolejnych zadań społeczeństwa. Ma to być „realizacja konkretnych zadań publicznych, ustalonych wedle obiektywnie(?) przemyślanego planu na bliższą lub dalszą metę" (str. 25). To już nie strupieszałe" partyjnictwo — zachwyca się autor — „całkiem inny wymiar".

Naturalnie ten pomysł rzekomo antypartyjnicki jest albo 1) szczerą naiwnością albo 2) (prawdopodobniejsza) nieszczerym wybiegiem. Bo jaka jest miara „obiektywności"? Gdy zaczniemy razem z omawianą grupką formułować owe rzekome „obiektywne" postulaty, pokaże się, że będziemy je formułowali albo z punktu widzenia jakiejś ideologii albo — klasowych interesów. I wówczas grupka stanie się partią (w miniaturze). Tak właśnie stało się z p. Bobrzyńskim. Jego rzekomo „obiektywnym" programem jest klasowy program imperialistycznego ziemiaństwa, skierowany przeciw południowi i wschodowi... Historia o tym, jak p. Bobrzyński szukał „obiektywnego" programu, a znalazł — subjektywny program wojowniczej szlachty!

A teraz prasa. O, tu „N. Przyszłość" nie zna żartów! Prasa „posądziła" biedaczka o germanofilstwo (nb. słusznie). Czas oświadczył, że grupka B. piorunuje na partie, a także jest — partyjką. Grupka wobec tego wpada w dziki gniew. Prasa?! Ależ to nie prasa, to korupcja, gnój! Gdzie rząd?!

„Żelazną miotłą(!) trzebaby zrobić porządek(?!), a ten porządek musi zrobić zdecydowanym, bezwzględnym wysiłkiem RZĄD i lepsza część opinii publicznej" (str. 49).

Rząd? A cóż ma zrobić rząd w kwestii? Musi wystąpić — woła organ p. B. — bo „prasa polska idzie po linii wrogiej dla państwa konspiracji"(!). (Swoją drogą — czy Związek dziennikarzy Rzeczypospolitej nie powinien zareagować na podobne gołosłowne oskarżenia pod adresem całej prasy?). A w innym miejscu (str. 45) najgrubszym drukiem: „Spółczesna polska gazeta jest to coś, czego porządny człowiek obawia się, aby nie zostać przez nie oszkalowanym, ale przed czym żadnego nie może czuć szacunku!".

Najlepiej więc — za mordę to wszystko, i partie i prasę. Do chwytania za mordę" ta grupka starszych szlachciców czuje widocznie ogromny pociąg, bo w ustępie o mniejszościach narodowych (str. 61) pismo pisze: „Rzecz wiadoma i dowiedziona w życiu publicznym i prywatnym, że kto chce cośkolwiek przeprowadzić, musi ludzi „chwycić za mordę — jeżeli mamy użyć uczciwie i wyraźnie nowoczesnego zwrotu".

To widocznie jest cząstka tego „obiektywnego"(!) programu polskiego, o którym wyżej mowa.

To jest wszystko. „Ależ bzdury!" powie czytelnik. Naturalnie, zwłaszcza gdy na str. 16 (przy krytyce endeków) dowiadujemy się, że endecy „w pewnych wypadkach popierają komunistów(!) — w imię swobody demokratycznej". Po prostu dom obłąkanych. A po tym p. B. ciska się na prasę z pianą na ustach.

Tak, bzdury to straszne (a wszystko pono dla walki z — Marksem, str. 66). Ale nikt nie zaprzeczy, że w tej osobliwej psychologii (czy psychopatologii) jest pewna swoista klasowa logika...

K. Czapiński

Każdy z naszych czytelników, który przeczytał w przedostatnim zeszycie Naszej Przyszłości trzy niedługie artykuły, odnoszące się do spraw prasowych i partyjnych, jak również narodowościowych, musi na widok tego dziwacznego, zupełnie niedorzecznego ataku prasy socjalistycznej zadać sobie pytanie: gdzie Rzym, gdzie Krym? Bo istotnie wszystko, co tow. Czapiński na nas w powyższej elukubacji wylewa, nie zawiera żadnej odpowiedzi ani krytyki istotnej treści atakowanego zeszytu Naszej Przyszłości, ale jest z bujnej fantazji p. Czapińskiego wyssane i idzie od rzeczy, a raczej obok rzeczy, nietykając nas wcale. Ten sposób uprawiania „polemiki" prasowej przypomina mimowoli lekcje obcych języków metodą Ollendorfa, gdzie np. takie piękne znaleźć można zdania: „Pogoda jest dzisiaj piękna, ale skarpetki marynarza są zielone".

Istotnie bowiem wszystkie ataki prasy socjalistycznej stoją w takim stosunku do treści Naszej Przyszłości, jak kwestja pogody do koloru skarpetek marynarza.

Ale niemniej przeto atak polskich socjalistów, treścią swą całkiem fantastyczny i nieistotny, zawiera jednak pewne ciekawe momenty, jest symptomem czegoś i dlatego godnym jest na chwilę naszej uwagi.

Otóż przedewszystkiem mamy tu znowu jaskrawy przykład amoralności dziennikarskiej, którą zwalczamy bez względu na kierunek polityczny danego organu. Dziennikarz Czapiński bowiem kłamie, poprostu kłamie, wmawiając w swych czytelników, jakobyśmy zalecali „wzięcie za mordę" prasy i partji politycznych. To nieprawda i to nieprawda podwójna. Raz dlatego, że owo krewkie a ordynarne wyrażenie zamieściliśmy u nas w cudzysłowie, jako nie pochodzące od nas, ale należące niestety do utartego języka nowoczesnej, ultrademokratycznej polityki. Zamieściliśmy je więc z gryzącą ironją, bo Nasza Przy-

szłość w tem, co od siebie głosi, do tak niskiego poziomu politycznej gwary nie ma zwyczaju zstępować. Powtóre zaś wyrażenie owo, z którego dziennikarz Czapiński wykuł tytuł i podtytuł swego wiecowego artykułu, nie zostało przez nas użyte wcale w odniesieniu do prasy lub partji politycznych, a natomiast jako ironiczne napiętnowanie karygodnej słabości Polaków wobec spiskujących przeciw państwu i narodowi polskiemu zakonspirowanej mafji wśród pewnych kół ruskich, litewskich, czeskich i t. p.

Istotnie bowiem wielu Polaków, a wśród nich i socjaliści polscy, którzy oddają się naiwnym a tchórzliwym złudzeniom, że słabeuszowskie, sielankowe pochlebianie różnym mafjom obco-narodowościowym, dyszącym przeciw nam mordem i zagładą oraz padanie przed niemi na twarz nakłoni je do serdecznego z nami braterstwa. Nasza Przyszłość twierdzi natomiast — na podstawie, realnej nauki dawnych i wspóczesnych dziejów—że braterstwo to da się osiągnąć tylko pod warunkiem, że naród i państwo polskie staną mocno i twardo wobec tych wszystkich mafji, chwycią silnie w garść przewodnictwo w losach swoich i tamtych narodowości — co wcale nie jest identyczne ze zdobywczym imperjalizmem—i tym mniejszościom narodowym zdecydowaną myślą i praktyką polityczną zaimponują. Bo tylko zaimponowanie komuś czemś rokuje jakieś pozytywne w polityce widoki i wytwarza siłę atrakcyjną. Babskie zaś sielanki produkują tylko lekceważenie i wzmagają przeświadczenie u obcych narodowości szukania oparcia nie w Polsce, a gdziekolwiek indziej, gdzie uwidacznia się męski moment decyzji i siły.

To wynika z całej treści naszego zeszytu lutowego i dlatego doradzamy stanowczo naszym wspórodakom i naszym rządom chwycić mocno w garść ster polskiego okrętu wraz z załadowanymi nań mniejszościami wszelkiego rodzaju. A słabeuszom polskim z pod znaku Marksa i innych twórców kolektywizmu pozostawiamy altruistyczne filozofowanie w nieskończoność i lizanie stóp wszelkim mafjom cudzoziemskim w imię tępo — upartego ideału „międzynarodowego“, z którego dzisiaj nawet napółcywilizowany góral albański się śmieje.

Ale, co najciekawsze, to zdumiewający fakt, że towarzysz— socjalista Czapiński w pełni XX-go wieku, w zdemokratyzowanej Republice polskiej, która zniosła podobno wszelkie rodowe tytuły, mianuje wydawcę Naszej Przyszłości nanowo szlach-

cicem! Widać z tego, że wspólna redakcja trzech pism socjalistycznych, walczących niby o prawa mas proletarjackich, przejęła na siebie funkcje dawnych cesarskich kancelaryj heraldycznych. Czytywaliśmy niekiedy przed wojną światową w „zaśniedziałych“ dziennikach ogłoszenia, że taka a taka Jego Cesarska Mość „potwierdził na podstawie przedłożonych dokumentów stare polskie szlachectwo“ panu temu a temu.

Obecnie rolę tą Mikołajów ,Wilhelmów czy Franz-Josefów potwierdzenia starodawnego szlacheckiego tytułu przejęła na siebie redakcja koncernu pism socjalistycznych!

Zawstydzacie nas, jaśnie wielmożni panowie socjaliści! Bo my, z pod znaku Naszej Przyszłości, wyznać musimy z rumieńcem wstydu na twarzy, że — dalipan — zapomnieliśmy już oddawna o naszych pożółkłych dokumentach familijnych i nikomu z nas w polemice prasowej nawet przez myśl nie przeszłoby użyć argumentu, że p. Bobrzyński lub p. Niedziałkowski jest lub nie jest szlachcicem z pochodzenia. Dopiero pp. socjaliści, zwolennicy niby proletarjackiej równości międzynarodowej, przypominają nam, że w Polsce istnieje i powinna istnieć uprzywilejowana szlachta oraz reszta, czyli ludzie „nikczemnego stanu“, jak ich nazywa Zagłoba.

Dzięki więc tej renominacji na szlachcica ze strony p. Czapińskiego nie wątpimy, że wydawca Naszej Przyszłości przypomni sobie o swoich przodkach i herbach; naprawiając karygodne zapomnienie demokratyczne, zacznie szperać po szafach i archiwach za swoimi odnośnymi dokumentami.

Zresztą będzie to miało i tę praktyczną stronę, że zarówno p. Bobrzyński, jak i p. Niedziałkowski, należący do kierownictwa polskiego „międzynarodowego proletarjatu“ i bardzo miarodajny w koncernie polskiej prasy socjalistycznej, są wspólnie spadkobiercami legendarnych miljardów lorda Butlera, która to sprawa nabrała w ostatnich czasch szczególnego aktualizmu. Nie ulega oczywiście wątpliwości, że wydawca Naszej Przyszłości, odziedziczywszy swą część tych księżycowych miljardów, użyje ją na zasypanie polskiego proletarjatu gratisowymi egzemplarzami swego wydawnictwa, aby wyprzeć tam wpływy dzienników socjalistycznych — a natomiast p. szlachcic Niedziałkowski, jako prawowierny socjalista, zsocjalizuje swą część spadku na rzecz prenumeratorów swej prasy.

Ciekawych dożyliśmy czasów i stosunków...

Co jednak jest najważniejszem we wszystkich atakujących nas artykułach p. Czapińskiego, to niewątpliwie piekielny strach przed prądem, jaki reprezentuje Nasza Przyszłość i Związek Polskiej Myśli Państwowej.

Bo pism, pisemek, partji i partyjek, zrzeszeń i programów wszelkiego rodzaju jest dość w Polsce i to daleko od nas liczniejszych i daleko obficiej naszpikowanych różnemi „wybitnemi“ nazwiskami. A jednak na żadne z nich nie wylewa prasa socjalistyczna w wielkich artykułach tyle żółci i — co najciekawsze— tyle nieprawdy. Dlaczego wprawiać w taki trans paniki potężną liczebnie partję i prasę socjalistyczną, że jakaś nieliczna grupa osób, nie piastująca wielkich godności, tłustych posad, mandatów i wpływów, nie obwieszona orderami, nie cytowana w prasie z przydomkiem „wybitny“, coś tam sobie rozważa, drukuje i spokojnie propaguje? Wszak mają socjaliści przed sobą bezporównania potężniejszych, liczniejszych i wpływowszych przeciwników! Skądże więc przypada nam specjalnie w udziale zaszczyt takich czołowych ataków ze strony wielkiego herolda socjalistycznego dziennikarstwa, tow. Czapińskiego?

Odnosimy wrażenie — z którego zaczynamy być bardzo dumni — że przywódcy polskiego socjalizmu, ludzie bezwątpienia sprytni i inteligentni, zrobili pierwsi odkrycie, iż skromna pozornie akcja nasza przedstawia dla doktryny socjalistycznej i innych importowanych do Polski „obcych agentur“ daleko groźniejsze niebezpieczeństwo, niż oportunistyczna, konjunkturalna, zawsze skłonna do wszelakich kompromisów działalność wszelakich innych grup i organizacji antysocjalistycznych. A moc tego niebezpieczeństwa widzą socjaliści słusznie w niezależnym, bezwzględnym integraliźmie naszych tez, programu i taktyki, który różni się tem właśnie zasadniczo od miękkiej kompromisowości wszelkich innych ugrupowań w kraju.

Przeczuwają socjaliści polscy, że Nasza Przyszłość jest nie do przekupienia, że nikt, oprócz piszących w niej osób i oczywiście wydawcy, nie ma na nią wpływu, że pieniądz nie ma nad nią żadnej mocy. Czytają w niej raz po raz miażdżące uderzenia młotem we wszystko — bez względu na kierunek polityczny — co pachnie oportunizmiem, konjukturalnością, kompromisem i karjerowiczostwem wszelkiego rodzaju. Widzą też zapewne w akcji naszej pewną, niezwykłą w anarchicznej polskiej psychice, konsekwencją i stałość działania, a obok tego całkowitą obojętność na chwilowo modne efemerydy perypetji par-

tyjnych, wyborczych, sejmowych, gabinetowych i t. p. Wyczuwają, że Nasza Przyszłość wierzy mocno w to, co sama głosi i że żadne utarte względy i względziki, żadne międzypartyjne i międzyprasowe kurtuazje nie będą w stanie wytrącić jej z bezwzględnie prostolinijnej drogi.

A to grozi istotnie niebezpieczeństwem dla otumanionych pseudo-socjalizmem mas, opanowanych przez rządzącą niemi wszechwładnie arystokrację P.P.S. Przeciw temu niebezpieczeństwu trzeba więc z góry niewolniczo wierne zastępy czytelników prasy socjalistycznej ochronić i opancerzyć. Bo któż może przewidzieć, czy taka Nasza Przyszłość — wraz z rozrzucanemi przez nią tysiącznemi wydawnictwami ubocznemi — nie rozszerzy się przypadkiem w jakiejś korzystnej dla siebie konjunkturze, nie zdobędzie dusz (i co ważniejsze: prenumerat) z zasięgu dzienników socjalistycznych, nie rzuci w masy ludowe jakiegoś pociągającego hasła i nie wykaże — ze swą bezwzględną szczerością — olbrzymiej różnicy bytu między przywódcami i redaktorami socjalistycznymi a otumanionym proletarjatem?

Tak, to istotnie bardzo niebezpieczna dla wszelkich zakłamań partyjnych impreza! Dlatego też trzeba ją zwalczać zawczasu wszelkiemi środkami, a jeżeli pewną trudność przedstawia zwalczanie jej prawdą, to nie pozostaje nic innego, jak szkalować ją zgóry kłamstwem. Wszak kłamstwo i zawracanie głowy— byle tylko utwierdzić swą rację za wszelką cenę — jest typowem, uznanem i przeto „dozwolonem" narzędziem w arsenale partyjno-politycznym. Bez zawracania głowy żadna partja, a zwłaszcza socjalistyczna, nie ostałaby się w połowie XX-go wieku ani przez pięć minut w opinji publicznej.

I dlaczego to tow. Czapiński — oczywiście nie bez pewnego porozumienia z innymi naczelnikami polskiego socjalizmu— dokłada wszelkich sił, aby przestrzec z góry swych czytelników przed ewentualnym wpływem tak straszliwej osobistości, jaką jest niby wydawca Naszej Przyszłości i przewodniczący Zw. Polskiej Myśli Państwowej. Niechże, dzięki zapobiegliwości p. Czapińskiego, każdy czytelnik prasy socjalistycznej, któremu przypadkiem jakiś zeszyt Naszej Przyszłości wpadnie do ręki, powie sobie odrazu: „Aha, już wiem, to wydawnictwo tego strasznego wroga ludu i postępu!"

Zanim jednak to zbawienne „uświadomienie" rozpowszechni się wśród czyteników i sympatyków prasy socjalistycz-

nej, nakazuje nam poczucie sprawiedliwości złożyć najszczersze podziękowanie p. K. Czapińskiemu i redakcjom koncernu prasy socjalistycznej za wielką, bezpłatną reklamę, na którą musielibyśmy wydać tysięce. Nosimy się przeto z zamiarem ofiarowania p. Czapińskiemu godności członka wspierającego Związku Polskiej Myśli Państwowej. A to rzecz niełatwa i bardzo trudno dostępna, bo Nasza Przyszłość i wymieniony Związek wysoko się noszą i pierwszego lepszego „wybitnika" do siebie nie dopuszczą, choćby nawet ofiarowywał tysiące i choćby cała opinja publiczna mu się kłaniała.

Ale z p. K. Czapińskim rzecz ma się zgoła inaczej. Chociaż socjalista, a więc w naszem mniemaniu bądź co bądź przedstawiciel międzynarodowych „obcych agentur", położył jednak szeregiem reklamujących nas artykułów tak wielkie zasługi, że czarną niewdzięcznością z naszej strony byłoby zasług tych nadaniem mu jakiejś widomej godności nie uhonorować!

A co się tyczy wysuniętej przez p. Czapińskiego sugestji, aby Syndykat Dziennikarzy zaprotestował przeciw pewnym tezom, ogłoszonym przez Naszą Przyszłość w sprawie uszlachetnienia poziomu i pewnych metod prasy polskiej, w związku z groźną a niesłychanie perfidną penetracją bolszewizmu, to szkoda, że p. Czapiński zataił decydujący w tym względzie fakt, iż w atakowanym przez niego zeszycie Naszej Przyszłości przedrukowaliśmy in extenso apel do prasy, ogłoszony przez Wydział Wykonawczy Związku Dziennikarzy R. P. z 12-go grudnia z. r., podpisany przez ośmiu poważnych redaktorów gazet, a wzywający prasę polską do szanowania czci ludzkiej i do stosowania bardziej moralnych metod w polemice.

Do tego apelu zgłosiliśmy akces z całą szczerością i satysfakcją. Ale zarazem niechże apel ten będzie dla p. Czapińskiego dowodem, że jednak coś „źle się dzieje w państwie duńskiem", jeżeli Związek Dzieninkarzy w Warszawie widział się zmuszonym do wydania takiej odezwy!

Jednego tylko nie wolno robić p. Czapińskiemu: Zaprzeczania nam zgóry objetywizmu i dobrej woli, a oskarżania nas o wszelakie perfidne i kłamliwe zamiary. Na poparcie tego oskarżenia nie przytoczył p. Czapiński w żadnym ze swych atakujących nas artykułów najmniejszego konkretnego dowodu. Jego oskarżenia są wszystkie wyssane z palca, wszystkie skonstruowane ową właśnie najgorszą, najgodniejszą potępienia metodą złego dziennikarstwa wykrawania, wykręcania i sztucznego spawania poszczególnych słów i zwrotów przeciwnika, z czego oczy-

wiście najabsurdalniejsze zarzuty można sobie dowoli konstruować.

My, z pod znaku Naszej Przyszłości, na szczęście kłamać nietylko nie chcemy, ale i nie potrzebujemy. Nam bowiem na niczem nie zależy, o co modlą się prezydja i partji redakcje zwykłych wydawnictw. Rąbiemy swoje, robimy swoje, a czy rząd i społeczeństwo polskie zechcą lub nie zechcą głosu i przykładu tego posłuchać, to już ich rzecz, nie nasza. O zwolenników, o czytelników, a zwłaszcza o głosy wyborcze absolutnie nie zabiegamy. I dlatego stać nas na objektywizm i na prawdę.

Inaczej ma się rzecz z p. Czapińskim i z socjalizmem wogóle. Socjalizm to utopja, której nikt nigdy nie zrealizuje, a najmniej pp. redaktorzy Robotnika, Naprzodu i Gazety Robotniczej. Ponieważ zaś to utopja, więc aby podtrzymać rzekomą jej rację bytu wśród szerszych mas, trzeba oczywiście łgać, łgać i jeszcze raz łgać — bez końca. Bo rzeczywistej prawdy współczesny socjalizm nie wytrzymałby ani przez sekundę. Rozleciałby się w strzępy i skończył swój żywot wśród żywiołowego śmiechu narkotyzowanych dotąd mas.

I dlatego biedny p. Czapiński — skądinąd zapewne bardzo porządny człowiek — musi kłamać, czy chce czy nie chce, jako socjalistyczny publicysta. Ale niechby zechciał dokładnie, rzeczowo, bez złych sztuczek publicystycznych, polemizować z istotną treścią któregokolwiek z naszych artykułów, to złamałby odrazu swe socjalistyczne pióro i zamilkłyby na wieki wieków, amen.

Redakcja „Naszej Przyszłości"

Wściekłość i strach »Diła«

Leży przed nami wielki alarmowy artykuł lwowskiego „Diła“ z 16-go kwietnia b. r., mobilizujący małopolskie społeczeństwo ukraińskie, a zwłaszcza posłuszną „Diłu“ liczną partję ukraińskich narodowych demokratów — undowców — przeciw Naszej Przyszłości wogóle, a jej wydawcy w szczególności.

Wierni naszej zasadzie, że podajemy czytelnikom naszym w całości wypady przeciwników, z którymi chcemy polemizować, a potępiając zawsze, z reguły, rozwielmożniony system dziennikarski spryciarskiego, nieuczciwego i w istocie tchórzliwego szkalowania przeciwników na podstawie dowolnie wykrzywianych, obcinanych i przekręcanych zdań z naszych enuncjacji, podajemy i tym razem przedewszystkiem rzeczony artykuł „Diła“ w tłumaczeniu in extenso.

I czynimy to tem skwapliwiej, że chociaż artykuł ten nie pozostawia na nas suchej nitki, to jednak jest dalszym, błyszczącwym dowodem złych obyczajów prasy, które stale zwalczamy, a mianowicie: kompletnego braku należytej informacji i dowolnego konstruowania sobie przez redakcje dziennikarskie zarzutów i oskarżeń, z palca wyssanych.

Oto najpierw tekst tego artykułu.

CHROŃ NAS BOŻE OD PRZYJACIÓŁ.
(Nowa ukrainofilska afera w Warszawie).

Lwów, dnia 15 kwietnia 1937 r.

O wzroście zaciekawienia problemem ukraińskim w polskiej publicystyce pisaliśmy nieraz i szerokie sfery ukraińskiego społeczeństwa znają imiona polskich publicystów, którzy w ten czy inny sposób (niekoniecznie pozytywny) podchodzą do tego problemu.

Jedni uważają, że jest to temat polityczny, jeden z najaktualniejszych, którego nie można przemilczać w pracy publicystycznej (cała grupa „Buntu Młodych“ czy „Polityki“ redaktora J. Gedroycia), inni wiążą z problemem ukraińskim zasadnicze kierunki polskiej polityki państwowej i systematycznie, konsekwentnie ją propagują (grupa red. Bącz-

kowskiego z jego organami „Biuletyn Polsko-Ukraiński“, „Myśl Polska“ i „Wschód“). Dlatego, że traktowanie na tej płaszczyźnie ukraińskiego problemu ma jaskrawe ostrze antyrosyjskie, wszystkie te polskie koła, które rozumowo, czy uczuciowo z rosyjskością jeszcze nie zerwały, występują mocno przeciw takim politycznym tendencjom. Odnosi się to do całej starej endeckiej szkoły publicystycznej (Dmowski, Głąbiński, St. Grabski), dalej młodych, prawowiernych endeków (Rojek i tow.), t. zw. sanacyjnych endeków z grupy „Dziennika Polskiego“, wreszcie oenerowców typu Giertycha. Wszyscy oni (może z wyjątkiem rozchrystusowanego i chaotycznego Giertycha) mają jakieś polityczne koncepcje, wszyscy oni, rozumnie czy nierozumnie, słusznie czy niesłusznie, naświetlają politycznie problem ukraiński, bo nawet p. Rojek w swoich całkiem ukrainożerczych korespondencjach do „Warszawskiego Dziennika Narodowego“, z przywoływaniem poprostu policji na Ukraińców za wszelką ich działalność, która wytwarzą u tego typu Polaków manję prześladowania — nawet taki p. Rojek jest tylko następcą politycznej tezy Wałujewa i Leszka Borkowskiego.

Całkiem inną kategorję tworzą polscy publicyści, którzy zainteresowali się problemem ukraińskim jak gdyby „modnym towarem“. Nie znając spraw ukraińskich ani z książek, ani z autopsji, nałapawszy się różnych myśli z drugiej i trzeciej ręki, nie mający żadnej politycznej koncepcji, w której ramach umieściłby się problem ukraiński, ludzie ci „robią w kwestji ruskiej“, nietylko nie przyczyniając się do krystalizacji jakiegoś światopoglądu, ale pogłębiając jeszcze chaos, który panuje w polskiem społeczeństwie pod względem znajomości i rozumieniania problemu ukraińskiego w całości, jak i aktualnych polsko-ukraińskich sporów.

Ta kategorja polskich publicystów jest najgorsza, gorsza od Grabskich, Rojków i Giertychów, bo to grupa ludzi beznadziejnie chaotycznych, tem nieprzyjemniejszych, że nietylko niewiadomo, czego chcą od Ukraińców, czy wbrew Ukraińcom, ale i poco wzięli się do tego „interesu“?

Do tej grupy należy sam p. Jan Bobrzyński. W kwietniu 1930 r. wyszedł pierwszy numer jego najpierw kwartalnika, potem miesięcznika „Nasza Przyszłość“. W tym pierwszym numerze zamieścił on, ze swoim podpisem rozprawę p. t. problem ukraiński, w którym wystąpił z deklaracją, że dalsze zachowywanie istniejącego stanu polsko-ukraińskich stosunków jest nie do ścierpienia i szkodliwe i że rozwiązanie tych stosunków leży na płaszczyźnie „Wielkiej Ukrainy“.

W artykule tym było tyle insynuacji i tyle krańcowo obraźliwych zwrotów pod adresem Ukraińców, że ukraiński czytelnik nie wiedział, czy ma do czynienia z uczonym i publicystą, czy poprostu z prowokatorem. Otóż czytaliśmy m. in. o „psychice narodu ukraińskiego, wychowanej na hajdamackich tradycjach“, o „sztucznie przez Niemców inscenizowanych rzeziach ukraińskich“, o „solidarnej odpowiedzialności narodu ukraińskiego za każdy akt sabotażu, oraz że rozwiązanie i wybór drogi zależą wyłącznie od Ukraińców“. Do ukraińskiej państwowej niepodległości, zarówno jako idei narodowej, jak i politycznej koncepcji, p. Jan Bobrzyński podchodzi odrazu jako do „oczywistego absurdu i fikcji“, a Ukrainy nie przedstawia sobie wogóle inaczej, jak tylko w postaci

części ziem naddnieprzańskich, złączonych z Polską „jakąś unją“ czy federacją.

Potem stronice „Naszej Przyszłości“ stały się terenem całkiem dzikich harców, oprócz zupełnie właściwych głosów Łosia i Pogonowskiego, były tam głosy nawskroś analfabeckie i tak obraźliwe, że nie nadawały się do dyskusji. Sam p. Bobrzyński zaczął np. rzucać się na cały ukraiński, kozacki i hetmański okres Bohdana Chmielnickiego tak, jakgdyby „kozackie bunty“ i cała chmielnicczyzna wybuchły jak „Deus ex machina“, złożone wyłącznie z przesłanek uczuciowych. Poważnej historycznej analizy ani śladu. Całe zagadnienie ukraińskie sprowadzało się u p. Bobrzyńskiego wogóle do „kwestji kozackiej“ i „siczowego incydentu“. Powoli zaczął ginąć w „Naszej Przyszłości“ i sam termin „ukraiński“, ustępując miejsca terminowi „ruski“. I powoli z całego p. J. Bobrzyńskiego pozostała czysto dźwiękowa asocjacja myśli, jaka towarzyszyła niegdyś epoce Michała Bobrzyńskiego, poważnego historyka, poważnego polityka. Obu ich ma niby łączyć konserwatyzm. Ale dlaczego polscy konserwatyści typu Borkowskiego, Łosia, braci Bocheńskich, braci Pruszyńskich nie mogą mieć nic wspólnego z podobnemi „teorjami“ p. Jana Bobrzyńskiego! Dla nas stał się niewidoczną wielkością — małym synem swego ojca.

Aż oto daje się zauważyć, że p. Jan Bobrzyński zaczyna się „aktywizować“ i to akurat na odcinku ukraińskim, zawiązawszy w Warszawie kółko pod szumną nazwą „Konfederacja Młodych“ z emblematem „troistego herbu“ — Orła, Archanioła Michała i litewskiej Pogoni.

Ta organizacja ma „uświadamiać“ swoich członków w „kwestji ruskiej“ na platformie unji jagiellońskiej (bez Litwy i Ukrainy?!), a kadry tej organizacji tworzyć mają wspólnie z p. J. Bobrzyńskim studenci ukraińcy w Warszawie. Wyglądałoby to na całkiem nieprawdopodobną pogłoskę, czy na kiepski żart, gdyby nie fakt, że p. Bobrzyński organizuje jakieś wieczorki, czy podwieczorki z winem i tańcami, gdzie z naiwności, czy z godnej pożałowania prostoty ducha zachodzi i młodzież ukraińska.

Nie mamy nic przeciw temu, że są takie polskie koła, które finansują podobne imprezy. Znamy wiele przykładów rzucania grosza w błoto — aż żal prawdziwy zbiera, że grosz się marnuje, ale nic na to poradzić nie można.

Zato mamy obowiązek przestrzec ukraińską młodzież i ukraińskich obywateli, żeby nie dali się nabrać kiepskiej warszawskiej odmianie krakowskiej „ugody“. Nic na świecie nowego. I p. Jan Bobrzyński ma swych poprzedników. I on zrobi na „Rusinach“ taką samą polityczną karjerę, jaką zrobili ci poprzednicy. I z jednakową korzyścią dla narodu polskiego.

Otóż, szanowny czytelniku, mam zaszczyt oświadczyć publicznie, że wszystkie wiadomości, podane w powyższym artykule „Diła“, a dotyczące „Naszej Przyszłości“ oraz mojej akcji, są obsolutnie nieprawdziwe — od początku do końca. Ot, zwykła, powierzchownie reporterska, spryciarska, partyjno-politykierska robota. A obok tego blady, piekielny strach!

2

Przedewszystkiem co się tyczy tworzącego się zrzeszenia p. n. „Konfederacja Młodych“ oraz wspomnianych przez „Diło“ wieczorków z winem i tańcami, które rzekomo miałem urządzać dla młodzieży polskiej i ukraińskiej w Warszawie. Ani źdźbła w tem wszystkiem niema prawdy. Tworzy .się istotnie takie zrzeszenie, ale nie ja je tworzę. Odbył się istotnie jeden towarzyski wieczorek polsko-ukraińsko-białoruski, ale wcale na nim nie byłem, ani z jego urządzeniem nie miałem nic wspólnego.

Każdy uważniejszy czytelnik „Naszej Przyszłości“ może zresztą łatwo sobie wyobrazić, jak daleko usposobieniem mojem stoję od wszelakich wieczorkowych i ugodowych imprez tego rodzaju. Mógłby mi ktoś raczej zarzucić, że zbyt mocno walę toporem tam, gdzie prawdę wyrąbać należy . Ale imputować mi uganianie się za młodzieżą jakiejkolwiek narodowości, urządzanie herbatek i wieczorków i wogóle próbowanie jakichkolwiek metod „ugodowo - współżyciowych“ z Ukraińcami, czy z kimkolwiekbądź innym — to znaczy tyle, co nie znać mnie wcale i brać mnie za całkiem innego, niż jestem. Bobrzyńscy to twarde karki i natury i żadnemi wieczorkami, herbatkami, ugodami, ani uganianiem się za kimkolwiek polityki nie robią. Babskich metod inscenizowania herbatkowych sielanek „współżyciowych“ polsko-ukraińskich i obrzydliwego płaszczenia się na takich imprezach przed chytrem ukraińskiem hajdamactwem absolutnie nie uznaję.

Rzecz z młodzieżą w stosunku do mnie ma się całkiem inaczej. Pewnego dnia zjawili się u mnie pewni, dotąd całkiem mi nieznani przedstawiciele młodzieży najpierw polskiej, potem ukraińskiej, potem białoruskiej, wreszcie i litewskiej, oświadczając mi, że czytali w dawnych zeszytach „Naszej Przyszłości“ skonkretyzowany tam program konieczności dążenia wymienionych czterech narodów do wytworzenia pewnego „mocarstwowego zespołu“ dla rozerwania grożących wciąż kleszczy niemiecko-rosyjskich. Oświadczyli dalej — za wyjątkiem Litwinów, którzy mają jeszcze różne zastrzeżenia — że się im ten program podoba i że chcą na tej podstawie przystąpić do organizowania zrzeszenia młodzieży z tych czterech narodów, celem propagowania tej idei.

Zaproszono mnie do czołowego udziału w tej okcji. Odmówiłem. Ale, że sama idea jest mi oczywiście sympatyczną, więc zgodziłem się wkońcu na rolę życzliwego a neutralnego doradcy, który — o ile młodzież do niego się zwróci — zda-

nie swoje w danej sprawie jasno i bezdyskusyjnie wypowie, a czy z niego młodzi zechcą lub nie zechcą skorzystać, czy zechą lub nie zechcą zorganizować się, to już ich sprawa, do której zupełnie się nie mieszam, ani żadnej propagandy w tym względzie nie robię.

Uznając zasadniczą doniosłość idei porozumiewania się młodzieży czterech narodów, przez Niemców i Moskwę zagrożonych, zajmuję jednak w tej sprawie stanowisko bardzo ostrożnego i niemal sceptycznego obserwatora. Czekam, co z tego wyniknie, w nic się oczywiście nie angażując. Zdarzyło się nawet, że przygodnie parę cierpkich słów prawdy — zapytany o zdanie — powiedziałem młodzieży zarówno polskiej, jak i ukraińskiej. O popularność wśród młodych — a także wśród starszych — absolutnie nie zabiegam, karjery, jak dobrze wiadomo, nie robię, a obmierzłe mi jest wszelkie łapiduszostwo partyjne i dziennikarskie.

„Diło", jako pospolita gazeta i jako wyraz pewnej partji, ośmiela się mierzyć mnie swoją skalą i jeżeli ono zabiega o czytelników i sympatyków partyjnych wśród starych i młodych, to sądzi, że i Bobrzyński podobne ma cele i pragnienia. Kapitalna omyłka!

A teraz rzecz ważniejsza. „Diło" wychwala — a przynajmniej stosunkowo wychwala — w porównaniu ze mną różnych Polaków, piszących po różnych gazetach, a zwłaszcza konserwatystów: Gedroycia, Borkowskiego, Łosia, Bocheńskiego, Pruszyńskich i t. p. A na mnie rzuca się jak dzik z pianą na kłach. Dlaczego?

Odpowiedź bardzo prosta: bo tamci wszyscy pisarze i działacze żadnego konkretnego, głębszego programu w sprawie ukraińskiej nie posiadają, stoją mniejwięcej na stanowiskach siczowo-ugodowo-polsko-ukraińskiego status quo, co dalej z tej sytuacji wyniknąć może nie wiedzą i ograniczają się do pisywania mniejwięcej aktualistycznych tylko artykułów. Na głębszą koncepcję, na program dalekosiężny w sprawie rusko-ukraińskiej żaden z tych i podobnych im pisarzy polskich nie był w stanie się zdobyć. A ten stan rzeczy jest wielce dogodny dla sprytnych ukrainizatorów z pod znaku „Diła".

Natomiast „Diło" wie, a przynajmniej z artykułów „Naszej Przyszłości" wyczuwa, że ja mam dobrze wyrobiony i na dalszą metę dokładnie sprecyzowany program w sprawie rusko-ukraińskiej, który z konsekwencją, z coraz większą wyrazisto-

ścią propaguję. I to doprowadza szanowne „Diło“ do szewskiej pasji, gdyż cała siła ukrainizatorów leżała od niepamiętnych czasów w chwiejności i bezprogramowości polskiej polityki.

A program ten, w dłuższym szeregu lat przezemnie opracowany, nie jest bynajmniej z powietrza wzięty i nie polega wcale na rzekomej nieznajomości ukrainizatorskich stosunków i ukrainizatorskiej literatury. Wprost przeciwnie — znam tę literaturę i prasę aż nadto dobrze, ale znam więcej, bo psychikę i istotne, głębsze cele naszych ukrainizatorów w Małopolsce Wschodniej i gdzieindziej. Szereg lat bezpośredniego z nimi kontaktu, wysłuchiwanie nieskończonego szeregu przemówień ukrainizatorów różnego typu i przekonań, jak również — i to przedewszystkiem — baczna obserwacja ich postępowania, nauczyły mnie wiele, daleko więcej, niż studjum ksiąg i rozpraw ukrainizatorskich, zbyt często zakłamanych, specjalnie ad usum politicae spreparowanych, gdzie z prawdą dziejową obchodzą się autorzy jeszcze bardziej bezceremonjalnie, niż dawni polscy hurrapatrjoci. A program mój w tej sprawie, zaakceptowany stopniowo przez ogół współautorów „Naszej Przyszłości“ i przez Związek Polskiej Myśli Państwowej, przed trzema laty z ich grona wyłoniony, jest bardzo prosty, a przedewszystkiem etyczny.

Etyczny dlatego, że z bezproduktywnego pod względem państwowo-twórczym i społecznym ukraińskiego hajdamaki dąży do stopniowego wytworzenia pozytywnie myślącego „historycznego Rusina“, opartego ideowo o prastare szlachetne tradycje swego narodu, a więc zdolnego stać się odnowicielem swego własnego państwa i równorzędnym Polakowi współtwórcą wyżej wspomnianego mocarstwowego zespołu, którego konieczność w danych warunkach geograficznych stanowczo stwierdzam, ale którego formy bynajmneij nie przesądzam.

Bezmyślnie rabunkowe wyprawy watażków kozackich na czajkach, bezmyślne, pozbawione zawsze głębszego celu, dzikie mordy, inscenizowane na ziemiach ukrainnych przez różnych przywódców, stojących nieraz nawet na usługach obcych mocarstw, nie mogły wytworzyć w dzisiejszej psychice „Ukraińca“ nastroju pozytywnego nawet po względem własnej racji stanu. Stąd też dzisiejsi ukrainizatorzy, a i polscy ukrainiści, przyznają w rzadkich chwilach szczerości jednomyślnie, że problem polsko-ukraiński jest zagadnieniem nie do rozwiązania. Stąd

wszelakie próby ugodowe — o które w nieświadomości swej posądza także i mnie „Diło" — są i pozostaną śmiesznemi, sielankowemi zakłamaniami. Stąd wreszcie o powstaniu niezależnej Ukrainy w takich warunkach mowy być nie może, bo najpierw żaden ukrainizator, wyznawca legendy siczowej i krwawego noża, nie będzie w stanie samodzielnego państwa sobie stworzyć, a powtóre żadne z państw sąsiednich — ani Polska, ani Rosja, ani Rumunja — nie zgodzą się nigdy na to, aby powstał im pod bokiem wiecznie ziejący wulkan typu ukraińsko-hajdamackiego.

Dlatego powiać musi najpierw w zukrainizowanem od stu lat społeczeństwie ruskiem całkiem inny prąd. A prąd ten, jeżeli ma być głębszy i skuteczny, wyjść musi od samych Rusinów w formie odpowiednio silnej akcji rewizjonizmu i historycznego rachnuku sumienia. A więc muszą Rusini wytworzyć wśród siebie i przebyć taką samą szkołę samobiczowania i nawrotu do zdrowego rozsądku, jaką przebyli Polacy w ciągu ostatniego półwiecza przed wybuchem wojny światowej, zanim stali się zdolnymi do zbudowania i utrzymania własnego państwa w korzystnym momencie dziejowym.

Musi powstać na Rusi coś w rodzaju dawnej historyczno-politycznej szkoły Stańczyków, którąby odpowiednio wstrząsnęła zukrainizowanem ruskiem społeczeństwem i nauczyła je myśleć i działać pozytywnemi kategorjami. Oczywiście, nie spodobałoby się to wszelakim ukrainizatorskim demagogom i tromtadratom, zupełnie tak, jak twardy kierunek krakowskiej szkoły Stańczyków spotkał się z gradem kamieni ze strony demagogów i tromtadratów polskich.

To wszystko „Diło" zapewne wyczuwa — a może zbyt wielki zaszczyt robimy partyjnej gazecie, przypuszczając, że wogóle coś głębszego wyczuwa! — i dlatego rzuca się z taką pasją na „Naszą Przyszłość" i jej wydawcę. Bo istotnie, coby zrobiła nieszczęsna redakcja „Diła", gdyby coraz szersze sfery jego czytelników zaczęły się nagle zastanawiać nad fundamentalnym problemem: „Czy jest zaszczytnem i korzystnem dla narodu ruskiego występować wobec cywilizowanego świata ciągle jeszcze w niechlubnej roli adoratora siczowej hajdamaczyzny i deklasować się tem samem do poziomu narodów bezwzględnie niższego rzędu?" A gdyby zaczęła zadawać sobie to pytanie młodzież, która przecież niezadługo dorośnie? Poczytność i wpływy „Diła" doznałyby poważnego szwanku. A po-

czytność jest istotą duszy i celem życia każdego dziennikarza, więc proszę wyobrazić sobie smutne w takim wypadku położenie redakcji i administracji czołowej gazety ukrainizatorskiej!

„Nasza Przyszłość“ pragnie uwolnić nieszczęsny naród rusko-ukraiński z hajdamacko-siczowej narkozy i podnieść go do góry, a „Diło“ pragnie przeciwnie utrzymać go na dotychczasowym, niskim poziomie „mołojeckim“, który zgóry wyklucza dla narodu ruskiego jakąkolwiek rolę politycznego podmiotu, a poniża go do smutnej roli niesfornego, wiecznie nieproduktywnego przedmiotu rozgrywek między potężnymi, państwowo dobrze zorganizowanymi sąsiadami.

Dlatego czyni tak „Nasza Przyszłość“ — wbrew opinji polskich nacjonalistów? Dlaczego chce wzmocnić i podnieść naród ruski do samodzielnej roli historycznej, zamiast pchać go dalej na tory anarchji siczowo-hajdamackiej i przez to osłabiać, jak tego życzą sobie różne polskie ugrupowania i do czego pomagają różni polscy pochlebcy - ukrainofile? Czyni to „Nasza Przyszłość“ w głębokiem przeświadczeniem, że odrodzenie silnego, na pozytywnych tradycjach opartego narodu i państwa rusko-ukraińskiego jest niezbędnym warunkiem osłabienia Rosji i sparaliżowania jej ustawicznego, a zawsze destruktywnego naporu w różnych formach na Polskę i na Zachód wogóle.

Nastąpić to może jednak — jak wykazuje wielowiekowe doświadczenie — tylko wówczas, jeżeli naród ruski wyprze się nareszcie swej negatywnej tradycji i psychologji rozbójniczo-siczowej, a stanie mocno na platformie szlachetnej tradycji wielkoksiążęcej, przerwanej ongiś napadem Mongołów.

Oczywiście, ta odradzająca się Ruś, jeżeli ma zaistnieć, musi być jednak — przy całej swej niepodległości i suwerenności — sprzężona silnie w jakikolwiek sposób z Polską, raz dlatego, że bez polskiej pomocy niepodległa Ukraina wogóle nigdy nie powstanie i naród ruski zniszczy się sam w bezowocnych wysiłkach rozpaczy, żebrząc daremnie łaski i zakonspirowanej pomocy u różnych innych narodów, a powtóre dlatego, że Polska nie może żadną miarą dopuścić do powstania Wielkiej Ukrainy aż tak niezależnej, żeby to nowe państwo mogło ewentualnie każdej chwili zwrócić się przeciw Polsce, zawierając przy jakiejś okazji sojusz np. z Rosją czy Niemcami. Tak głupim nie wolno być żadnemu Polakowi.

Dlatego program nasz neguje śmiało utarty chwilowo status quo metternichowsko-ukrainizatorski, który ukraińscy i polscy

aktualiści uważają błędnie za jakieś nietykalne tabu, a na jego miejsce zaleca kategorycznie narodowi ruskiemu podniesienie sztandaru wielkiej, przedsiczowej i przedmongolskiej tradycji, co podniesie odrazu psychikę Rusina na wyższy poziom i zrówna go z Polakiem jako poważnego kontrahenta, stojącego na tym samym poziomie kulturalno-politycznym. W przeciwnym razie, jeżeli współcześni Rusini — Ukraińcy będą się uparcie tej ewolucji ideowej opierać i trzymać konwulsyjnie zbójeckich tradycji siczowo-hajdamackich, to żaden Polak, Francuz, Anglik i t. p. nie będzie mógł traktować ich za naród na serjo cywilizowany, ale jedynie tylko jako „atut" i objekt dla różnych rozgrywek międzynarodowych.

Niechże Redakcja „Diła" z ręką na sercu odpowie, czy takie traktowanie sprawy polsko-ukraińskiej jest „chaotyczne" i „obraźliwe" dla narodu ruskiego, czy też może właśnie przeciwnie? Nam się zdaje, że jest to jedyny dotąd, pozytywny program rozwiązania sprawy polsko-ruskiej, oparty na niezbędnem przygotowywaniu się na mogące nastąpić wypadki — podczas gdy wszelkie inne, aktualniejsze poczynania, artykuły, rozprawy, herbatki dyskusyjne i „systemy" z polskiej i ukraińskiej strony, których ironicznymi świadkami jesteśmy od szeregu lat, są niczem innem, jak tylko bezmyślnymi eksperymentami, albo rzucaniem sobie wzajemnie piaskiem w oczy.

Inna rzecz, że takie proste, niedyplomatyczne, twarde, niejako „integralne" postawienie przez nas sprawy może być nie na rękę partjom ukraińskim i ich partyjnym gazetom, które swą rację bytu i swoją „ważność" wobec ruskiego społeczeństwa czerpią z upartego, zaślepionego, zakostniałego podtrzymywania istniejącego stanu rzeczy i istniejącej psychiki w nieszczęsnym ruskim narodzie. Ale myli się kapitalnie „Diło", jeżeli w swej zakostniałej rutynie partyjno-dziennikarskiej zarzuca „Naszej Przyszłości", a zwłaszcza niżej podpisanemu, podobne myśli, podobną psychikę partyjno-karjerowiczowską. Nie, my na sprawie rusko-ukraińskiej żadnej karjery robić nie myślimy i nawet nie możemy. Nie możemy choćby z tego jednego powodu, iż wiemy doskonale, że jako pionierzy nowego programu, kruszącego ustabilizowany w mózgach ukraińskich i w wielu mógach polskich system polityczny, nietylko nie zyskamy żadnych pochwał, mandatów, orderów i innych zaszczytów, ale wprost przeciwnie: narazimy się i już narażamy na grad kamieni, zarzutów, oszczerstw i innych nieprzyjemności wszelkiego rodzaju.

Wszak — niedaleko szukając — „Diło“ stawia wyżej od nas nawet takiego p. Rojka, endeka — rusinofoba!

Dlaczego to czyni? Bo szowinizm polski, jak również niewinne artykuły teoretyczne pp. Łosia, Bączkowskiego, Pogonowskiego i innych ukrainistów polskich, są ogólnej polityce ukrainizatorskiej bardzo na rękę. Jedne otulają ukrainizatorów tak przez nich upragnioną aureolą „męczeństwa“, drugie podtrzymują beznadziejnie, od infinitum, nierozwiązalny status quo polsko-siczowego problemu. A na tym stanie rzeczy żerują oczywiście różne aktualistyczne partje polskie i ukraińskie w rozczulającej, ale niezmiernie niebezpiecznej sielance różnych ugod lub rozgrywek. Wśród całego tego zakłamanego, albo naiwnego, albo eksperymentatorskiego bałaganu, który do niczego pożytywnego doprowadzić nie może, a w ostatecznym rezultacie służy tylko wzmożeniu się intryg i potęgi Rosji, Niemiec i Czech, zjawia się „Nasza Przyszłość“, uderza pięścią w stół i oświadcza: „Tak dalej nie idzie, dość tej niebezpiecznej zabawy! Trzeba zmienić program i mózgi i ruszyć w całkiem innym kierunku! Nieprawdą jest, że istniejący chwilowo stan rzeczy zmienić się nie da, gdyż wszystko można i trzeba zmienić, jeżeli obrana droga złą się okazała i jeżeli głębiej przemyślana racja stanu dwóch bratnich narodów tego wymaga!“

Ale oto wielu zukrainizowanych Rusinów, a wśród nich i „Diło“, stoi na stanowisku, że „od Lacha niczego przyjąć nie trzeba“ — choćby nawet tylko dobrej rady. I dlatego chwali „Diło“ polskich teoretyków ukrainizmu, których pięknie pisane artykuły ani na krok jednak problemu polsko-ukraińskiego naprzód nie posuwają, chwali nawet poniekąd i otwartych przeciwników endeckich swego narodu. Od jednych przyjmuje gładką retorykę, od drugich z rozkoszą cierpi napaści . Bo wszak „naród ukraiński“ stworzony jest niby do wiecznych krzywd i cierpienia! Przyjmują również różne grupy ukraińskie „pomoc i dobre rady“ od Niemców, których geopolityka uważa ziemię naddnieprzańską za „rdzennie niemiecką“, a ukraińskiego „hada“ za przyszłego białego Murzyna.

To wszystko — a więc negatywne, zdradliwe lub teoretyczne — przyjmuje psychika ukraińska od Lachów i obcych. Ale wobec pozytywnego, państwowotwórczego programu, jaki poddaje „Nasza Przyszłość“, zajmuje dusza hajdamacka odrazu wrogie stanowisko. Bo nic pozytywnego od Lachów brać nie wolno. Tak skazał batko Chmielnicki i jego atamany, potwier-

dził to swą pieczęcią Metternich i trzymają się tej zasady konwulsyjnie dzisiejsi adoratorzy tradycji zbójeckich wypraw mołojeckich na czajkach.

I z takiem nastawieniem chcą zwyciężać Rosję i Polskę i budować państwo wielko-ukraińskie — przy pomocy samolotów i tanków, które pan Konowalec z Berlina na zamówienie sprowadzi!

Posądza nas „Diło" o naśladownictwo jakiejś „ugody krakowskiej". Znowu pospolita dziennikarska rutyna. Bo „Nasza Przyszłość". poznawszy nawskroś lisią chytrość współczesnego typu „Ukraińca", przynosi w pewnym sensie miecz, a nie ugodę. Śmiejemy się głośno ze wszystkich dziecięcych prób ugodowych, herbatkowych i międzyposelskich na chwilowej arenie parlamentarnej, za któremi kryje się z polskiej strony karygodna naiwność, a z ruskiej branie Lacha na kawał lub sprytna chęć „wydębienia" od rzędu jakichś korzyści. My z „Ukraińcem" wogóle gadać ani pertraktować nie myślimy, bo wiemy z cudzego i własnego doświadczenia, że to daremne i ...... śmieszne. Jeszcze żaden Lach nie wyszedł dobrze na stosunkach z siczownikiem. Szkoda czasu!

I dlatego potrzeba nam historycznego, prawdziwie kulturalnego Rusina, któryby traktował Chmielnickiego mniejwięcej tak, jak my Kostkę Napierskiego, a oparł się z dumą na tradycjach włodzimierskich tak, jak my na piastowskich. Z takim Rusinem całkiem inną będzie nasza rozmowa i możliwem też porozumienie w pewnych wspólnych, fundamentalnych sprawach. Z takim Rusinem, o ile powstanie, śmiać się również będziemy z polskich i ukraińskich szowinistów — tromtadratów.

Reasumując, pozwalamy sobie twierdzić, że „Diło" — o ile rzeczywiście zna ewolucję artykułów „Naszej Przyszłości", a nie tylko po łepkach — napada na nas przedewszystkiem właśnie dlatego, że podświadomie wyczuwa u nas głębszy, zdecydowany program i politycznie na serjo uzasadnioną przychylność dla sprawy ruskiego narodu. Ale z drugiej strony dowiedziało się zapewne z naszych aż nadto wyraźnych artykułów, że my przejrzeliśmy do gruntu prawdziwe, najbliższe intencje naszych krajowych ruskich ukrainizatorów, którzy — zamiast poważnie, na serjo przygotowywać powstanie państwa wielko-ukraińskiego — używają tego hasła tylko jako strachy na Lachy, a w rzeczywistej rzeczywistości ruszyli od lat na zukrainizowanie połowy

państwa polskiego, od Dunajca przez Lwów, Wołyń i Prypeć aż po Wilno. Ich prawdziwem dążeniem jest stworzenie z państwa polskiego w obecnych jego granicach czegoś w rodzaju dawnych Austro-Węgier, a więc jakiejś Polsko-Ukrainy, w którejby Ukraina podchodziła aż pod Lublin, Nowy Sącz i Tarnów.

To zdewualowała również i dewualuje w dalszym ciągu „Nasza Przyszłość“ i dlatego bije tak na alarm „Diło“ przeciw temu nieznośnemu wydawnictwu i jego wydawcy. No, a my na taki podbój Polski zgodzić się oczywiście nie możemy i dla tego nietylko śledzić i demaskować będziemy te zaborcze ukrainizatorskie wyprawy, ale uderzymy nawet w Rząd polski, gdyby chciał z jakichkolwiek powodów zamykać oczy na tą sprawę. Bo my w żadne wysokie polityki ani dyplomacje bawić się nie zamierzamy.

I jeszcze jedno — może nieco poza tematem, choć bynajmniej nie od rzeczy. Czy pp. ukrainizatorzy w ruskim narodzie, modląc się przed ołtarzem siczowym, uważają za zaszczytną kartę w tej tradycji, iż kozak — a więc bądź co bądź prototyp ukraińskiego żołnierza — stał się ostatecznie carskim siepaczem do ujarzmiania dla Rosji innych narodów? Czy chlubną kartą dla Ukraińców są rzezie, urządzane przez mołojców ukraińskich na służbie carskiej w czasie powstań polskich, gdzie zwyciężało ostatecznie regularne wojsko rosyjskie, ale potem urządzali rzezie bezbronnych mieszkańców ukraińscy Kozacy? Czy chlubną kartą w dziejach ukrainizowanego narodu jest rola zdobywcza Kozaków na Syberji, którzy dla cara w pień wycinali tamtejsze, przeważnie spokojne i nieraz bezbronne ludy? A obecnie stają wyznawcy siczowo-ukraińskiej ideologji na czele „Prometeusza“ — a więc związku różnych ludów, przez Rosję zawojowanych i uciśnionych. A kto dla Rosji zawojowywał i rzezał te ludy? Czy w pierwszym rzędzie nie ukraińscy Kozacy?

Nad tym niemałym problemem, z którego ukrainizm dzisiejszy sianem wykręcić się nie może, niech zastanowią się dobrze „Diło“ i wszyscy ukrainizatorzy narodu ruskiego!

W jednem tylko zgadzam się zupełnie z artykułem „Diła“, że jestem małym synem wielkiego Ojca. Przyznaję z całą skromnością. Ale bo też człowiek taki, jakim był Michał Bobrzyński, zjawia się w danym narodzie raz na sto lat. W zukrainizowanym narodzie ruskim nie było takiego oczywiście od czasu najaz-

dów mongolskich. Bo, aby wydać takiego męża, musi naród być nastawionym pozytywnie względem swej racji stanu, musi osiągnąć wysoki stopień kultury. Michał Bobrzyński z tradycji watażków i rzezi, Krzywonosów, Gontów i Żeleźniaków, oczywiście się nie narodzi. Ale co ten poważny historyk i polityk, którego mi „Diło" za przykład stawia, narzucił kategorycznie własnym rodakom, narażając się na grad protestów i oszczerstw ze strony polskiej tromtadracji? Narzucił im konieczność historycznego rachunku sumienia i gruntownej rewizji pojęć w kwestji nadmiernej adoracji różnych fałszywych legend, szkodliwych tradycji i powierzchownie pojmowanych t. zw. „świętości narodowych."

To samo doradza stanowczo ruskiej inteligencji jego syn, choć z bezporównania mniejszym autorytetem. Polska nie wyszła źle w krytycznym momencie niespodziewanego odzyskania niepodległości, że z wolą lub mimo woli rachunek ten sumienia przeprowadziła, błędy przedków stwierdziła i wysunęła ogólne hasło Naprawy Rzeczypospolitej. Zdaje mi się, że Ruś też źle na tem nie wyjdzie, jeżeli odżegnywując się od fałszywych tradycji siczowych, przeprowadzi analogiczny rewizjonizm pojęć narodowych, i odbuduje w sercach swych i umysłach dawniejszą chwałę i kulturę złotego Kijowa......

A że Michał Bobrzyński, jako namiestnik cesarza austrjackiego w Galicji, musiał inną politykę wobec Ukraińców prowadzić, niż ją zaleca obecnie „Nasza Przyszsłość", to rzecz oczywista. Wszak całkiem inne były wówczas warunki, o sprawie wielko - ukraińskiej, czy wielkiej Rusi wówczas nie mogło być mowy, a chodziło tylko o wybór między ruchem ukraińskim a idącą w awangardzie Rosji propagandą rusko-moskalofilską. Nic dziwnego, że wybrał to pierwsze. I ja uczyniłbym w podobnych warunkach bez żadnego wahania to samo.

Ale dziś niema już Austrji, niema Rosji carskiej, a jest natomiast wolna, dość potężna Polska i bolszewicki „Związek" sfederowanych komunizmem republik, w które czerwoni władcy moskiewscy rzucili — nieopatrznie ze swego punktu widzenia — hasła narodowościowe. A takie hasła, raz rzucone, już nie dadzą się zdusić mimo wszelkiego ucisku rusyfikatorskiego i komunizującego. Dlatego też sprawa ruska wygląda dziś całkiem

innaczej, niż za czasów Franciszka Józefa i Mikołaja. I dlatego też syn Michała Bobrzyńskiego nie sprzeniewierza się linji politycznej swego Ojca oraz szkoły, w której się wychował, jeżeli sprawę rusko-ukraińską traktuje obecnie z natury rzeczy na daleko szerszej platformie.

Jan Bobrzyński

Antykomunistyczny front od wewnątrz

— Wróg Nr. I państwa i Kościoła to komunizm — zagaiłem rozmowę z jednym z moich znajomych na aktualny dziś temat.

— Świadomość tego bodaj staje się coraz powszechniejsza w całem społeczeństwie. A przynajmniej coraz więcej się o tem mówi — odrzucił mi w odpowiedzi.

— Zapewne, mówi się coraz więcej. Ale czy dociera się do sedna zagadnienia, śmiem wątpić.

— Dlaczego? — zdziwił się mój rozmówca.

— Wskutek naszego entuzjazmu.

— To chyba nie jest wadą, że gorąco umiemy reagować na nowe problemy i hasła! — zaoponował mocno i spojrzał na mnie nieomal ze zgorszeniem.

— Wadą nie jest, ale cnotą też nie. Prowadzi bowiem do płycizny, do czysto konjunkturalnego „gadania" i wygadywania, do błyskania piorunami oburzenia, do zapowiadania ofenzywy. A wszystko to jest takie „inteligenckie" dreptanie w miejscu, taki swego rodzaju murzyński taniec wojenny — bez żadnych konsekwencji. Ot, trochę niedopałków w popielniczkach i wygniecione oparcia w klubowych fotelach po posiedzeniach.

— Pan się zapomina! — zagrzmiał gniewnie, a po chwili, opanowawszy się pod mojem nieco rozbawionem spojrzeniem, poprawił się spokojniej: — Pan zapomina o roku 1920.

— Owszem, pamiętam. Znakomite zwycięstwo, pokwitowane kiepskim traktatem. Prawdziwe „rokowania w Rydze". A potem bardzo krótka pamięć o wszystkiem, co zaszło. Jeszcze jakieś dwa, trzy lata żyła opinia „antybolszewickiemi nastrojami", ale już przygotowywano się do takiej czy innej kooperacji.

— Nie z komunizmem! Chyba na takie oskarżenie nie starczy panu odwagi, ani materjałów dowodowych? — rzucił mi jakby w formie ostrzeżenia.

— Oczywiście nie z komunizmem, lecz z państwem, rządzonem przez komunistów.

— Przecież tak robił cały świat.

— Tak zwany świat mógł sobie na wiele rzeczy pozwolić. My mniej. A tymczasem zaczęliśmy sobie pozwalać na znacznie więcej, ponad stan naszych możliwości. Wpadliśmy niemal w bałwochwalstwo dla „nowej Rosji". Inturist zaczął wozić całemi wagonami wycieczki z Polski, których uczestnicy, pomimo różnych zastrzeżeń i grymasów — no, bo przecież wypadało być „krytycznym" — manifestowali summa summarum cielęcy zachwyt nad tem czy owem zjawiskiem sowieckiego życia. A potem, w prostej konsekwencji tej sąsiedzkiej kokieterji, przymrużyliśmy nietylko jedno, ale oba oczy na coraz bezczelniejszy import propagandy wywrotowej.

— Co pan mówi?

— Przecież nasze władze ustawicznie tropiły i wykrywały różne jaczejki, a nasi sędziowie urabiali sobie ręce po łokcie, pisząc akty oskarżenia i odsiadywali sobie nagniotki na niekończących się sesjach — tem chciał pan zapewne mnie przygwoździć?

— No tak, nie może pan zarzucić, że aparat bezpieczeństwa i wymiaru sprawiedliwości czegoś zaniedbał.

— Nie mam zamiaru. Skłonny nawet jestem wyrazić daleko idące uznanie. Ale...

— Pan ma zawsze jakieś ale — wpadł mi w słowo mój przyjaciel.

— Trudno! O komuniźmie nie będzie pan mógł rozmawiać ze mną bez irytacji. Bo też, choć nasze więzienia wypchano, jak beczkę śledziami, skazanymi komunistami — porównanie tem odpowiedniejsze, że przeważnie byli to żydzi — to jednocześnie w kraju szerzył się biały komunizm, swoisty bolszewizm intelektualny, idący szerokim i wygodnym szlakiem przez szpalty wyrastającej jak trujące grzyby prasy, różnych „Wiadomości literackich" i wprost już komunistycznych świstków w rodzaju „Oblicza dnia", „Sygnałów", „Poprostu" i dobrego tuzina innych organów, wyglądających zasobnie, bo opartych o jurgelt moskiewskiej międzynarodówki. Na deskach teatrów zaczęły

pojawiać się bolszewickie sztuki, na ekranach filmy. Istny szał uwielbienia, czy, powiedzmy skromniej, zainteresowania ogarnął naszą snobelitę, jeśli nie naszą, to „od naszych“. Zaczytywano na strzępy tłomaczone hurtem powieści nowej sowieckiej falangi pisarskiej. Zjadano góry kawioru na fajfach w poselstwie przy ul. Poznańskiej, wypychano sobie dziury w bokach tłocząc się na wystawach malarstwa, książki bolszewickiej etc.

— I okazało się, że nie taki straszny djabeł, jak go malują. Że co do prestiżu, sztuka bolszewicka ma jeszcze wiele do zrobienia — zatryumfował mój oponent.

— Wiele do zrobienia w zakresie estetyki czy techniki — no tak! Ale takie podejście wykazało właściwie kilku zawodowych krytyków, którzy schlastali „prymitywizm“ sowieckich kiczów. Natomiast dla przeciętnej opinji ten prymitywizm miał swoisty przysmaczek, zachłystywano się nim. Podobnie, jak zachłystywało się i wciąż się zachłystuje zdrowym, mocnym „przeciągiem ideowym“ hasła rewolucji światowej. A właśnie żagwią tej rewolucji ustawicznie wymachuje u nas ta nieprzeliczona nieomal prasa, jawnie i skrycie komunizująca. Doszło wreszcie do tego, że owym zachwytem dla Sowietów zaczadzono nam „Płomyk“, pisemko dla młodzieży szkolnej. W zespole jego współpracowników znaleźli się notorycznie komunizujący literaci: W. Wasilewska, Wł. Broniewski, J. Muszałówna.

— Nie może pan chyba zarzucić, że przeszło to bez echa — zahaczył mię z błyskiem zadowolenia w oku. — Właśnie ze strony katolickiej.

— Owszem, rozległo się echo. Katolicy umieją protestować. Połowa naszej akcji i aktywności wypełniona jest „echami“, niezadowoleniem, protestem, skargami. Jesteśmy mistrzami suplikacji. A tymczasem wróg już wlazł do ośrodka twierdzy. Znaleźli się w szeregach naszej młodzieży katolickiej propagatorzy jakiejś odmiany komunizmu katolicyzującego, czy katolicyzmu komunistycznego, co do tej samej zresztą prowadzi herezji.

— Ma pan na myśli tego hrabiego D., co to ożenił się z pewną baletniczką?

— Niezupełnie — odpowiedziałem, siłą powstrzymując uśmiech. — Ten mój młody D. nie jest, zdaje się, takim znów

hrabią, a poślubił „narazie“ ideę rewolucyjną — „czerwoną markietankę“. I zadowolony z tego marjażu, zachęcać zaczął na łamach pewnego pisma, ad hoc do agitowania młodzieży akademickiej stworzonego, do flirtu z komuną. Nazwał to skromnie „Poprostu“. Nowa odmiana prostoty ewangelicznej?..

— Czytałem, że to „Poprostu“ zawieszono.

— No tak! Ostatnio władze wzięły się dosyć ostro do likwidowania komunistycznej prasy. Bo rzeczywiście miarka się przebrała. A lwowski zjazd „czerwonych literatów“ był poprostu bezczelnością pierwszej klasy, firmowaną notabene nawet przez członków naszej oficjalnej Akademji Literatury. Pan Wincenty Rzymowski — który przez złośliwy figiel losu ma „na urągowisko sprzeczne z naturą nazwisko“ — dobrze się tu zasłużył koło tej złej sprawy... Przy okazji zaś mogliśmy się przekonać, jak głęboko sięga infiltracja naszego życia zbiorowego i kultury pierwiastkami komunistycznego rozkładu.

— Czy pan poprostu nie przesadza w ocenie tego niebezpieczeństwa — ukłuł mię ironją mój kontrowersista. — Nie należy tak dramatyzować. Jesteśmy starą kulturą, od wieków zadomowioną w świecie łacińskim, rzymsko-katolickim, a więc należycie chyba uodpornioną na wszelkie obce pierwiastki ideowe ex oriente. Nie wyobraża pan sobie przecież, że tak z dnia na dzień można zmienić obyczaj, nastawienie, ducha kultury. A takie małe flirciki mogą stanowić nawet interesującą podstawę do rewizji pewnych, zbyt szablonowych formuł naszego światopoglądu. Nie będzie pan chyba przeczył, że pewne przejawy świeckiej myśli przyczyniły się do bardzo pożytecznych rewizji. Tak było przed wiekami. Żeby daleko nie sięgać, wspomnijmy tylko o pierwszych „komunistach“ naszej europejskiej historji, Waldensach i Albigensach. Odpowiedzią na ich zakusy była reguła franciszkańskiego ubóstwa. A reformacja, czyż nie odbiła się echem na soborze trydenckim? — Mój rozmówca zapalał się coraz bardziej, widać trafił w swej świadomości na złotą żyłę tematu. Nie przeszkadzałem mu. Niech się wygada. Niech wyeksploduje całym ładunkiem różnych skrzywdzonych opinji i mniemań. — A taki Marks i manifest komunistyczny — ciągnął z ogniem dalej, — czyż nie wywołał refleksu „Rerum Novarum“. Mojem zdaniem, ci różni reformatorzy, ci bojownicy krzywdy ludzkiej, błądzą może w doktrynie, ale nie błądzą w wyczuciu istotnych problemów swego czasu.

— Otóż to. W tej chwili dotknął pan samego rdzenia kwestji, o której tu od pół godziny rozmawiamy. Doktryna! Zasady! Wynikająca stąd metoda działania. To jest najważniejsze. Samo wyczucie jakiejś potrzeby nie wystarcza. Człowiek miał wyczucie potrzeby latania. Uwieczniła to legenda o Ikarze i jego katastrofie. Ślad tego znajdujemy w usiłowaniach Leonarda da Vinci. Ale dopiero Wright i Blériot przypięli skrzydła ludzkości. Dopiero oni znaleźli prawdziwą formułkę.

— Ślicznie, lecz mamy tu do czynienia z zagadnieniem czysto technicznem. Tymczasem sprawa reform socjalnych wkracza w zakres etyki, jest poczęści tylko zagadnieniem ekonomji, a poczęści psychologji.

— Tum właśnie pana czekał. Ależ oczywiście tak: nie można reformować społeczeństwa, nie dotykając duszy ludzkiej. I tym cytowanym przez pana „reformatorom" mam przedewszystkiem jedno do zarzucenia, że zlekceważyli ludzką duszę. A że tak było, najlepszy dowód w tej niesłychanej, zapienionej nienawiści, z jaką odnieśli się do Kościoła. Ten ich radykalizm reformatorski nie dlatego tylko jest podejrzany, że obiecują wyzwolić ludzi z więzów ekonomicznej walki o chleb, zrównać w ramach bezklasowego społeczeństwa — jest to jedno z tych naiwnych, a jednocześnie przewrotnych kłamstw, któremi niestety tak łatwo ludzie pozwalają się tumanić, jedna z nieśmiertelnej serji bajek o Schlarafenlandzie. To reformatorswo kompromituje się przedewszystkiem dlatego, że godzi w instytucję Kościoła, który gwarantuje ludziom jedyny realny egalitaryzm: obdarzonego duszą nieśmiertelną stworzenia wobec Boga. I dlatego ogłaszam komunizm jako wroga Nr. I Państwa i Kościoła.

— Słowem, widzi pan w komuniżmie największe niebezpieczeństwo naszych czasów.

— Tak jest. I dlatego głównie, że widzę zasadnicze przeciwieństwo doktrynalne między całą naszą kulturą chrześcijańską, opartą o hierarchicznie zorganizowane i narodowo uświadomione społeczeństwa, a tą „nową kulturą", głoszącą rzekomy ideał międzynarodówki bezklasowej. Muszę z całą stanowczością podkreślić słowami ostatniego listu Episkopatu polskiego, że na rzecz tego zdradnego ideału ogromna, nieprzebierająca w środkach „propaganda, kierowana przez rękę ko-

munizmu rosyjskiego, już się rozpętała i u nas. Nie dosięga ona jeszcze świątyń, ani nie rzuca na stos posiewu piekieł. Ale wprawną ręką agitatora, omotującego i bałamucącego umysły, rzuca siejbę nienawiści religijnej i społecznej w dusze mas, a szczególnie młodzieży". Jej przedmiotem jest Kościół, państwo, wszelki ideał moralny, narodowy i kulturalny.

— Brzmi to jak dzwon alarmowy na trwogę.

— I bardzo w porę. Zdaje się, że dość już wiele poruszyliśmy w naszej rozmowie przejawów tej propagandy i jej wpływu. Jest ona mistrzowska w wielu swych posunięciach. Tam, gdzie nie może zaatakować od frontu, wkrada się bokiem. Mami podobieństwem haseł, analogją — jak pan powiedział przed chwilą — wyczucia ludzkich potrzeb.

— Chwyta mnie pan za słowo.

— To komunistyczna propaganda chwyta nas za słowa, za uczucia, apeluje wbrew temu, co się pospolicie mniema, nie do „niższych instynktów ludzkiej duszy", ale do wyższych aspiracji i ideałów. Łudzi np. ostatnio hasłem pacyfistycznem, programem frontu jednolitego demokracji pracującej, ba, nawet i komunizmem narodowym. I zbiera owoce na mniejszą, a nieraz i większą skalę.

— Chyba bardzo kwaśne? — mój rozmówca szelmowsko łysnął ku mnie okiem.

— Nie zupełnie. Na wędkę pacyfistyczną udało im się złowić — jak podawał Express warszawski — ni mniej ni więcej, jak pewnego proboszcza na wileńszczyźnie, który wraz z lokalną akcją katolicką, gotów był przyłączyć się do protestu w interesie komunistycznego kongresu pokoju w Brukseli. A wynik wyborów w Łodzi, czyż to nie sukces komunistycznej idei frontu jednolitego?

— Widzę, że chce mię pan przerazić.

— O tyle „przerazić", o ile może mi to pomóc do zwrócenia uwagi na konkluzje praktyczne.

— Sytuacja jest dość beznadziejna. Polska ma w perspektywie los Hiszpanji.

— Niema beznadziejnych sytuacji. A losu Hiszpanji można uniknąć, jeśli wziąć się do kontrakcji, oczywiście posługującej się odpowiednią metodą.

— Łatwo panu mówić: — „kontrakcja“, „odpowiednia metoda“. Ale skąd to wytrzasnąć?

— Oczywiście z rękawa się nie wytrzęsie. Na szczęście nie wszyscy w Polsce dali się uwieść sielance flirtu z bolszewizmem, nie wszyscy poprzestawali na obserwowaniu i kontemplowaniu ponętnej pianki bolszewickich haseł, w których miał się rzekomo przejawić duch czasu.

— No, to całe szczęście! — mój rozmówca odetchnął z pewną ulgą.

— Tem westchnieniem ulgi nie wymiga mi się Pan od odpowiedzialności za sprawę walki z komunizmem. Nie zepchnie Pan ciężaru tej walki na barki jednostek, czy grup, lub instytucji, które nie spuściły z oka niebezpieczeństwa komunizmu i jego przygotowań do ostatecznej rozgrywki, Ta rozgrywka o tyle przyniesie klęskę komunizmowi, o ile stanie do niej całe społeczeństwo. O ile powstanie powszechna w kraju atmosfera antykomunistyczna, idąca z najgłębszych pokładów duszy narodu. W takiej atmosferze nawet bardzo liczne kadry nasłanych zzewnątrz agentów nic nie wskórają. Od pracy nad stworzeniem tej antykomunistycznej atmosfery nie może być wykluczony żaden obywatel Polak.

— Więc i ja?

— I Pan i ja i wszyscy, jeśli to, że nazywamy się Polakami i obywatelami Rzeczypospolitej, nie ma się okazać frazesem bez żadnej treści historycznej i aktualnej. Więcej powiem, jeśli mamy nie shańbić się zdradą stygmatu chrześcijaństwa, który zdobi nasze dusze! W ostatniej encyklice „Divini Redemptoris“ Ojciec św. mówi: „niezłomną żywimy nadzieję, że owa zaciekłość, z jaką synowie ciemności dniem i nocą propagują fałsze bezbożnego swego materjalizmu, pobudzi synów światłości do podobnie gorliwej, a nawet gorliwszej obrony Majestatu Bożego“.

— To brzmi mocno. Czy jednak nie nazbyt kategorycznie jest zarysowany ten przedział między synami światłości i ciemności? Przecież dzisiaj komunizm wyciąga rękę do zgody. Przywódca francuskich komunistów Thorez rzucił hasło „la main tendue“. Więc czy nie przyjąć tej ręki, czy przez uścisk taki nie wlać w nią naszą treść, treść chrześcijańskiej miłości bliźniego?

— Nic fałszywszego od takiego pojęcia miłości bliźniego i katolickiego apostolstwa, jakie pan tu zaprezentował! Przyjmując w takich warunkach wyciągniętą rękę komunistów, pozwalamy się zciągnąć na ich płaszczyznę, na której pojęcie człowieczeństwa straciło już swój właściwy sens. Pozwalamy się wciągnąć w zasadzkę, w pułapkę, zostajemy zaszeregowani do tej ciemnej armji, która judzona jest właśnie do ataku na wszystkie nasze świętości, na ołtarze, domy naszych rodzin, granice naszych państw.

— Cóż więc mam robić? Przestaję już rozumieć całą tę sprawę.

— Bo nie chce pan rozumować, nie raczy pomyśleć gruntownie nad całą sprawą. A myśleć, to znaczy oddzielać prawdę od fałszu. I w konsekwencji umieć fałsz potępić, a potępiwszy, wstrzymać się od jakiejkolwiek współpracy, od sugestjonowania się powabami, w jakie został perfidnie przystrojony.

A to są tylko maski.. Komuniści — powiada encyklika — „co więcej podstępem starają się wślizgnąć nawet do katolickich i religijnych stowarzyszeń. Zdarza się nieraz, że nie odstępują w niczem od bezbożnych swych zasad, zapraszają katolików do wspólnego działania czy to w zakresie cywilizacyjnym czy charytatywnym. Stawiają też propozycje, zgodne czasem z duchem chrześcijańskim i z nauką Kościoła. Gdziendziej głoszą obłudnie, że w krajach o głębokiej wierze i wysokiej kulturze komunizm przyjmie inną, łagodniejszą postać, że tam nie będzie tępił kultu religijnego i uszanuje wolność sumienia. Są nawet tacy, którzy powołują się na ostatnie zmiany w konstytucji bolszewickiej, aby wysnuć stąd wniosek, że komunizm wycofuje się z zasadniczej „walki z Bogiem". — Wszystko to są dzieła „przebiegłości i podstępu, dzięki którym komuniści już nie mało łatwowiernych sobie pozyskali".

— Mocno brzmi ta przestroga, ale szkoda, że tak rzadko w tym tonie przemawia się do opinji, że nasza prasa nie odsłania całej tej podminowującej roboty światowego komunizmu.

Prasa? Czyżby Pan nie zdawał sobie sprawy, że większą część prasy ogarnia, jak to nazywa encyklika, „sprzysiężenie milczenia". Tem tylko można wytłomaczyć, że „tak mało się pisze o tak rozległej organizacji światowej, jaką jest sekta komunizmu, kierowana z Moskwy". Ale to jeszcze nie wszystko. Każdą próbę głębszego sięgnięcia za kulisy komunizmu, gdzie

zwłaszcza włada ręka masońsko-żydowska, ta właśnie prasa, będąca, jeśli nie na finansowym, to na ideowym jurgelcie rewolucyjnych central, umie ze zdumiewającą zgodnością zakrakać, ośmieszyć, splugawić insynuacjami, zagłuszyć zgodnym chórem potępienia. Przypomina pan sobie, jak to, jakby na komendę, uderzyło na „Naszą Przyszłość" siedemnaście pism, od konserwatywnego „Czasu" począwszy, a na komunizującym „Kurjerze Porannym" i „Robotniku" skończywszy, z powodu artykułu „Przeciw światowi Marksa". Pamięta Pan, jak jednomyślnie skandowały te pisma insynuację, równie podłą jak niedorzeczną i jak ją powtarzały identycznie, nie fatygując się nawet jej stylizacją. To braterstwo kałamarzy jest tylko możliwe przy istnieniu jednego wspólnego ośrodka dyspozycyjnego. Dzieci bawią się tak, jak im wdowa każe. Podobne zjawiska „milczenia" lub zajadłej, zapienionej nienawiścią „gadatliwości" „przypisać po części należy — stwierdza encyklika — krótkowzroczności politycznej, ale nie mniej znajdują one poparcie u niektórych tajnych związków, które już od dawna dążą do zburzenia chrześcijańskiego ustroju społecznego".

Ojciec św. daje w tej sprawie nie budzącą żadnej wątpliwości wskazówkę we wspomnianej encyklice przeciw komunizmowi: „Komunizm jest zły w samej istocie swojej i w żadnej dziedzinie nie może współpracować z nim ten, kto pragnie ocalić chrześcijańską cywilizację. Ci zaś, którzy przez komunizm oszukani, przyczynią się do jego zwycięstwa w swej ojczyźnie, staną się pierwszemi ofiarami swego błędu. Im starszą i wspanialszą chrześcijańską tradycją chlubi się kraj, do którego wciska się komunizm, tem większe uczyni w nim spustoszenie nienawiść bezbożnych".

— Czyż można winić ludzi, że dali się oszukać komunizmowi, który tyloma powabnemi hasłami oddziaływuje na opinję?

— Winić? Chyba Pan zgodzi się z tem, że na pewnym poziomie kultury umysłowej posiada się możność odróżniania fałszu od prawdy, pozorów ułudnych od istoty rzeczy. Jeśli więc ktoś w tych warunkach bywa oszukany, to albo chce być oszukany i świadomie przywala na to oszustwo, by czerpać z niego potem te czy inne dla siebie korzyści, albo nie czyni żadnego wysiłku, aby oszustwo zdemaskować. Tak czy inaczej wina jego jest niewątpliwa. „Niestety dotąd tak jest, że nie wielu — jak mówi encyklika — poznało prawdziwe zamiary komunizmu, większość zaś z łatwością uległa pokusie najponęt-

niejszych obietnic". I w ten właśnie sposób „komuniści zdołali pozyskać dla swoich zamysłów także takie koła, które z zasady przeciwne są wszelkiemu materjalizmowi i terrorowi". Będę brutalnie szczery. I pan także, mój przyjacielu, jest mimo całej swej dobrej woli, w sferze uroku komunistycznej propagandy.

— To bardzo surowe oskarżenie. Ale traktuję je tylko retorycznie.

— I w tem tkwi całe nieszczęście ludzi pokroju pańskiego. Traktują oni zbyt wiele poważnych rzeczy li tylko retorycznie. Komunizm, to dla nich także jedna z odmian retoryki, która nie prowadzi do żadnych praktycznych konsekwencji.

— O, za pozwoleniem. Komunizm wojujący, rewolucyjny, podpalający świat, wycinający ludzi w pień, gnębiący wolność jednostki, niszczący kultury narodowe — ten potępiam. Ale to jest właśnie komunizm ciasnej doktryny. W rzeczywistości zaś mamy do czynienia z komunizmem ugodowym, kompromisowym, komunizmem Nepu, burżuazyjnego budownictwa, t. zw. piatiletek, dalej „frontów ludowych" i „demokratycznych", a w tem przecież nie widzę nic groźnego, to jest już mangeable, to już komunizm ewolucyjny, przeciwko któremu trudno znów tak bardzo zasadniczo występować.

— To jest właśnie błąd, który niestety popełnia nazbyt wielu ludzi. Darzą oni niczem niezasłużonem zaufaniem prasę, która też na instrumencie ludzkiej łatwowierności wygrywa melodje, jakie jej się żywnie podoba i prowadzi opinję kraju zarówno pod sztandarem konserwatyzmu, jak i radykalizmu, na zgubne bezdroża, skąd otwiera się jedyna możliwa perspektywa rewolucji. Jedne umysły ogłupić, zaczadzić pozorami najświętszych, humanitarnych haseł, w których głoszeniu ta prasa potrafi być „plus pape que la pape même", a w rezultacie rozbroić moralnie, — drugie zaś zbuntować, zdynamizować i uzbroić do dzikiej, bezwzględnej walki. O t o c z e m u s ł u ż y t a p r a s a, p o w t a r z a j ą c a b e z w y t c h n i e n i a t o, c o n a d a j ą j e j i d e o w e c e n t r a l e t a j n e. Pierwszym obowiązkiem i zadaniem człowieka, obywatela, który na serjo pragnie podjąć walkę z komunizmem, który lekkomyślnie i dziecinnie nie godzi się z „rewolucją w formie ewolucji", jak to dziś modnie się nazywa, który chce się wyzwolić z majaczeń o różnych przełomach rzekomo dobroczynnych — będzie nauczyć się odnosić krytycznie do skorumpowania przez komunizm

prasy. Następnie zaś odrzucić kategorycznie wszystkie mamidła wspólnych haseł, celów i wogóle współpracy z komunizmem. Bo nie może być nigdy, nigdzie i pod żadnym pozorem, choćby najświętszych używano zaklęć — współpracy z wrogiem Boga i człowieka, na podobieństwo Boże stworzonego, z sukcesorami tych, którzy Boga ukrzyżowali i którzy dziś za naszemi plecami ostrzą zdradziecki nóż, by nam go wbić pod serce. Lecz to jest dopiero forma bierna antykomunizmu. Czynna polegać będzie na realizowaniu chrześcijańskiej nauki na polu społecznem, w życiu indywidualnem i państwowem, na podjęciu szerokiej akcji przebudowy moralnej jednostek i społeczeństwa. W każdym bądź razie dość już snobizmu na punkcie komuny, dość tego inteligenckiego zakłamywania się, że rewolucja na raty, to właściwie nie jest żadna rewolucja. Ci salonowi pięknoduchowie, zachłystujący się zatrutą przez komunizm literaturą piękną czy polityczną, to są te wiewiórki, które, uciekając z płonącego lasu, unoszą na swych ogonach iskry pożaru rewolucyjnego. Czas przestać bawić się ogniem!

Józef Stefan Czarnecki.

Mocarstwowa braterska Unja słowacko-polsko-czesko-łużycka



Prosimy Szanowynych Czyteników przyjrzeć się uważnie tej mapce, która z powyższym tytułem rozpowszechniona została w ostatnich czasach w Polsce i zapewne także w innych kra-

jach zainteresowanych, a raczej — ściśle mówiąc — tą nową koncepcją megalomanji czesko-bolszewickiej sprowokowanych.

Bo jasnem jest z tej mapki i zamieszczonego przy niej komentarza, który dysponuje objętymi mapką narodami jak stadem wydanych na rzeź baranów, że chodzi tu o nową „ultrasłowiańską" prowokację czeskich szowinistów, szerzoną z pewnością nie bez cichej aprobaty praskich sfer rządzących. A za tą prowokacją kryje się najoczywiściej bolszewicka intryga.

Bo cóż z tej mapki wynika?

Otóż przedewszystkiem ma powstać jakaś — jak to objaśnia załączony do mapki komentarz — „unifikacja zachodniosłowiańska narodowo-kulturalna". A unifikacja ta ma być oczywiście jakiemś państwem, czy ścisłym zespołem państwowym, dla którego pod czeską komendą mają zunifikowane w rozczulającym braterstwie słowiańskiem narody wybudować sobie (oczywiście z ad hoc nałożonych podatków) potężną stolicę „Slawograd" — a więc „Słowianogród" — gdzieś mniej-więcej u stóp Baraniej Góry na Podkarpaciu, skąd Wisła wypływa, która — jak z megalomanji czeskiej wiadomo — jest przecież „rdzennie czeską" rzeką.

Powtóre temu państwu neo-słowiańskiemu mają oddać Niemcy znaczne obszary, w zamierzchłych czasach przez Słowian zamieszkiwane: a więc nietylko mały okręg łużycki, gdzie rzeczywiście resztki słowiańskich Wendów się zachowały, ale i całą Saksonję w wielkim zakresie, aż niemal pod bramy Berlina, której drezdeńska stolica ma zamienić się czeskiemi metodami na rdzennie słowiańskie „Drażdany".

Dalej głosi komentarz „braterskiej Unji", że Węgrzy, którzy też mają wejść w skład słowiańsko-mocarstwowej sielanki, będą w niej „po ojcowsku" zmuszeni zwrócić Słowakom — a więc w praktyce Czechom — 50 procent zmadjaryzowanych dusz, czyli zamienić się w połowie na Słowian i stać się przez to także jednym z ważnych „słowiańskich ośrodków".

Żydzi zaś mają być wysiedleni na Syberję, do obszaru między górnym Jenisejem, Leną i jeziorem Bajkalskiem!!!

Oczywiście — o czem komentarz już milczy — za łaskawem pozwoleniem i paszportami braci bolszewików. Bo jakżeby inaczej można było tych kilka miljonów żydów, zamieszkałych na obszarze, objętym powyższą mapą, przesiedlić w głąb państwa sowieckiego i utworzyć tam nad Bajkałem olbrzymią kolonję jewrejską — zapewne nową „federacyjną republikę socja-

listyczną" — bez zezwolenia Sowietów i bez przystąpienia ich do „braterskiej Unji"?

I tu leży właśnie „pies zakopany" — da liegt der Hund bergraben. Mapka i komentarz, obliczone oczywiście na wabienie niepoprawnych głupców słowianofilskich — których spotkać można jeszcze i w Polsce na wolności, zamiast w zakładach dla niedorozwiniętych pod baczną lekarską opieką — prawią tylko o zachodniem słowiańszczyźnie, do którego bez ceremonji wliczają Węgrów, a inkorporują także w nadmiarze łaskawości Polskę w jej obecnych granicach, nie wspominając natomiast o rzeczy kardynalnej, mianowicie o niezbędnej czynnej roli bolszewickiej Rosji w razie, gdyby cała ta koncepcja ściętej czeskiej głowy miała dojść do skutku.

Oczywiście, autorzy tej bezgranicznie głupiej a bezczelnej prowokacji z Pragi nie potrzebują o tej kierującej moskiewsko-bolszewickiej roli wspominać, gdyż mają ją zgóry zapewnioną. Jasnem jest i bezspornem dla każdego, choćby powierzchownego znawcy czesko-rosyjskich stosunków, że nowa ta prowokacja czeska wyszła z aprobatą Kremla, jeżeli wogóle nie była wprost przez Moskwę wymyślona i tylko z czeskim stemplem wydana.

Wskazuje na to, między innemi, choćby jedno dobrze nam w Polsce znane pociągnięcie: oto projektowana słowiańska Unja braterska ma zdobyć na Niemcach znaczne obszary, nawet takie, których rdzennej niemieckości od przeszło tysiąca lat nikt zaprzeczyć nie może. A więc — w ostatecznym, praktycznym rezultacie — ma Polska wydać Niemcom zaborczą wojnę. Bo przecież na objętych mapką słowiańskich ziemiach tylko armja polska w razie czego na serjo się liczy.

Znana to nam już dobrze od szeregu lat prowokacja bolszewicka, zmierzająca do wyciągania dla Sowietów z niemieckiego pieca gorących kasztanów. Wszak dyplomacja sowiecka prze w pierwszym rzędzie do sprowokowania wojny polsko-niemieckiej na korzyść Moskwy. A w tym celu, jak z załączonej mapki propagandowej widzimy, używa Moskwa także swych praskich lokai.

Nic z tego! Do wojny z Niemcami, a zwłaszcza do zdobywania na nich Saksonji (!), sprowokować się nie damy, a słowiańskie bujdy archeologiczne pozostawiamy, jako zabawkę, zdziecinniałym endekom starego typu, którzy na swej politycznej emeryturze, obok kładzenia pasjansa, mogą radotować o „po-

krewieństwach szczepowych" i wspominać z tęsknotą dawne carskie łaski i „słowiańskie" złote ruble.

Nas, nowoczesnych Polaków, żaden czeski Szwejk na brednie słowiańskie nie weźmie, zupełnie tak samo, jak nie weźmie nikt Anglika na brednie pangermańskie. A takie prowokacje, jak załączona mapka i koncepcja mocarstwowej Unji braterskiej zachodnio-słowiańskiej, jest dla nas w gruncie rzeczy bardzo pouczająca i pożyteczna, gdyż nawet najnaiwniejszemu z Polaków otwiera oczy na

1) cały bezmiar absurdalnej megalomanji małego czeskiego narodku, który raz nareszcie winien dostać porządnie w skórę, aby przestał bróździć i podżegać do wojen w Środkowej Europie,

2) niesłychaną perfidję kominternu — to jest właściwie bolszewickiego rządu — który drogą absurdów słowiańskich uprawia przez Pragę łapiduszostwo na rzecz wiecznie zaborczej Moskwy.

Jeżeli już chodzi koniecznie o kreślenie map fantastycznych, to stosunkowo daleko prawdopodobniejszą ze względu na przyszłość byłaby mapka, zajmująca się energicznie likwidacją czeskiej megalomanji. Ot np. cała zachodnia połowa Czech właściwych jest przecież od wieków rdzennie niemiecką, a więc Niemcy mają bezpośrednio więcej praw i powodów do inkorporacji całego zawełtawskiego obszaru, zamieszkałego przez trzy i pół miljona ich rodaków, niż Czesi do Słowaczyzny, Rusi zakarpackiej i pewnych skrawków, czysto węgierskich, które perfidją i gwałtem zaanektowali. No, a Węgrzy mają w każdym razie tysiąc razy więcej praw i powodów do rewindykacji swych podkarpackich prowincji, przez Czechów im zrabowanych i to na podstawie cynicznej komedji „układów" pana Masaryka z jakimiś egzotycznymi „przedstawicielami" Słowaków i Rusinów w dalekiej Ameryce!

Zbroimy się oczywiście na dwie strony — przeciw otaczającym nas kleszczom niemieckim i rosyjskim. Naiwność germanofilską, jak i moskalofilską, czy słowianofilską, uważamy narówni za głupotę. Nie wierzymy nikomu. Wiemy, że w gruncie rzeczy każdy z sąsiadów ma na Polskę apetyt i że tej Polski trzeba bronić. To też nasze pociski z równą szybkością polecą w razie potrzeby na wschód lub na zachód, na północ czy na południe. Ale, o ile nam Niemcy dadzą święty spokój, to ani jednej łezki nie uronimy i ani jednego żołnierza ze słowiańskim

sztandarem nie wyślemy, gdyby np. pan Ludendorf — nowy, a niebezpieczny przyjaciel Hitlera — wyprawił się na zachodnie Czechy, wykorzystując proste prawo samostanowienia o sobie i unifikacji narodu niemieckiego, o którem to prawie dla wszystkich narodów oświadczyli się rozgłośnie pp. Masaryk i Benesz w czasie konferencji wersalskich. Z prawdziwą zaś przyjemnością podałyby rękę nasze karpackie posterunki graniczne posterunkom węgierskim, zajmującym z powrotem swe odwieczne stanowiska, przypominając im tylko o uczciwszem wykonaniu przyrzeczenia autonomji dla Słowaków, niż to uczynili — a raczej wcale nie uczynili — dzisiejsi masońsko-filosowieccy rządcy Czech.

A sowieckiej armji — wiedzcie o tem panowie Szwejkowie! — nie boimy się wcale. Boi się jej natomiast sam... rząd sowiecki. Bo żołnierz sowiecki, przeważnie chłopskiego pochodzenia, niezbyt jest rozanielony eksperymentem komunistycznym, a raczej pseudo-komunistycznym, który mu ostatnie ziarno zboża zabiera. A skomplikowane motory nowoczesne w niezdarnych łapach niezadowolonych mużyków nie przedstawiają dla nas także zbyt wielkiego niebezpieczeństwa. Wyglądają groźnie tylko dopóki nie utkną w pierwszem bagnie lub rowie. A zanim je stamtąd komunistyczna technika wojenna wyciągnie i naprawi — jeżeli je wogóle naprawi — to my przez ten czas wygarbujemy skórę czeskim „braciom słowiańskim", ale tak, że aż w piekle słychać będzie!

Oto, jakie horoskopy, stosunkowo daleko realniejsze od „mocarstwowych unji zachodnio-słowiańskich", moglibyśmy rysować i rozpowszechniać. Ale my Polacy takiej dziecinnej propagandy nie uprawiamy, bo zanadto cenimy powagę naszej polityki i naszej Ojczyzny wogóle. Gotujemy się tylko z całym spokojem na wypadki, które ewentualnie mogą nastąpić. A w razie czego damy Czechom żelazną pięścią naodlew i odbierzemy z powrotem naszą skradzioną własność: drugą połowę Śląska Cieszyńskiego.

I zmusimy Czechów, aby stali się cywilizowanym narodem, skoro nie mają zamiaru wysiedlać się nad jezioro Bajkalskie, ale siedzą w centralnej Europie. Bo naród czeski jest dziś jeszcze dzikim narodem, uprawiającym metody policyjne dalekiego wschodu.

Wszak każdy Czech, który nieprzychylnie o Polsce przemawia lub pisze, może mimo to bezpiecznie przyjechać do

Polski i podróżować po naszym kraju, bez obawy aresztowania. Oczywiście w zetknięciu z Polakami nie mógłby w takim wypadku liczyć na serdeczne przyjęcie, ale żadnemu staroście, czy choćby nawet policjantowi polskiemu nie przeszłoby przez myśl aresztować podróżującego Czecha i znęcać się nad nim dlatego, że jakiś nieprzychylny dla Polski artykuł w czeskiej gazecie lub krytyczną o Polsce rozprawę naukową napisał. Mamy zaiste poważniejsze troski i zadania, niż prześladować podróżnych za ich przekonania polityczne.

Inaczej w Czechach. Tam nawet poważny uczony polski, który w jakiejś swej rozprawie krytyczne uwagi o Czechach napisał, zwabiony bywa perfidnie na kongres naukowy, prawniczy, czy historyczny, czy inny i po drodze zostaje aresztowany. Dosłownie jak w Sowdepji, a może nawet jeszcze gorzej. Bolszewicy bowiem chętnie pokazują dorobek pracy komunistycznej w swem państwie cudzoziemcom, nawet tym, o których wiedzą, że w swych krajach energicznie zwalczają komunizm. O ile nam wiadomo, nikt z Polaków, zaproszonych na zwiedzenie Rosji komunistycznej, nie był przez bolszewików aresztowany, ale wprost przeciwnie — z tem większą gorliwością pokazywano mu rezultaty socjalistycznej gospodarki. Do Czech natomiast nie może wjechać, nawet w celach zupełnie niepolitycznych, żaden cudzoziemiec, który ośmielił się nie pochwalić bez zastrzeżeń raju czeskiego. Pod tym względem prześcignęli stanowczo Czesi swych mistrzów... carskich i bolszewickich Moskali.

Dziki naród w centrum cywilizowanej Europy...!

„Słowianin".

Pan poseł Sławik w Moskwie, a Moskwa w Paryżu

Ledwie przebrzmiały — i to niecałkiem jeszcze — echa skandalicznej afery czesko-bolszewickiej z osławioną książką dyplomaty czeskiego w Bukareszcie, pana Szeby, wymierzoną za oficjaną aprobatą czeskiego ministra spraw zagranicznych przeciw Polsce i Rumunji, a przez to także i przeciw małej Entencie — a jesteśmy świadkami nowego skandalu czeskiego, nie mającego chyba analogji w nowoczesnej dyplomacji. I trzeba tylko tradycyjnej tolerancji polskiej, aby ten nowy policzek ze strony maleńkiego, a szczekliwego sąsiada znieść z suwerennym spokojem.

Prawda, że orzeł nie łapie much, jak mówi słusznie stare, łacińskie przysłowie. To też orzeł polski nie przejmuje się natrętnym a kąśliwem brzęczeniem czeskiego bąka.

Oto pan Sławik, poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny Republiki Czeskiej, wyjechał ostentacyjnie z początkiem maja na parę dni do Moskwy, aby nie asystować przy naszych uroczystościach trzeciomajowych, a zato rozczulać się w objęciach swych słowiańsko-mongolsko-bolszewickich braci czerwonych.

Postępek, godny Czecha. Bo przecież obecność przedstawicieli państw obcych na dorocznych uroczystościach narodowych jest w każdem państwie, nawet w egzotycznem, napółcywilizowanem, prostym aktem mechanicznej kurtuazji oficjalnej, który pozatem do niczego nie obowiązuje, ani nie jest sam przez się wyrazem jakichkolwiek uczuć przyjaźni. Wszak np. polscy przedstawiciele dyplomatyczni asystują kurtuazyjnie przy wszelakich „świętach narodowych" nawet w tych państwach, o których dobrze wiemy, że chciałyby nas w łyżce wody utopić. Prosty akt dyplomatycznego ceremonjału, przyjętego na całym świecie — i nic więcej.

Ale pan minister Sławik — oczywiście z aprobatą swego szefa, czeskiego ministra spraw zagranicznych, który, jak dobrze wiadomo, spełnia posłusznie tylko rozkazy Moskwy — zrobił właśnie „coś więcej". Absencją swą zademonstrował oficjalnie wrogie nastawienie swoje własne i swego sławetnego rządu wobec Polski, a zato pośpieszył uderzyć czołem przed właściwymi panami dzisiejszego państwa i narodu czeskiego, rozkazującymi z Kremla.

Nam, Polakom, zrobił dobrze, gdyż uwolnił nasze uroczystości od swej niezbyt miłej obecności, przyczyniając się do jeszcze wyraźniejszego wyjaśnienia sytuacji i do zacieśnienia naszego sojuszu z Rumunją, przez czesko-moskiewskie intrygi jeszcze bardziej od nas zagrożoną. Rzecz inna, czy taka „polityka" czeskich możnowładców i ich agentów dyplomatycznych wychodzi na korzyść czeskiego narodu? Ale nie nasza to rzecz kłopotać się o losy tego narodu.

Co natomiast ilustruje jaskrawo polityka takich pp. Szebów i Sławików, to bez żadnej wątpliwości system rozpaczy wspóczesnych rządców czeskich. Obecne bowiem rządy czeskie, które narzuciły się pod wpływem masonerji czeskiemu narodowi, udaremniając przytem i uciskając po barbarzyńsku Słowaków, Węgrów, Polaków i Rusinów zakarpackich, zdają sobie doskonale sprawę z tego, że maleńkie „imperjum" czeskie w dzisiejszych swych niezmiernie sztucznych i do śmieszności rozdętych granicach, z większością uciskanych obcych narodów, jest tworem nie do utrzymania. Rację swą bytu — co prawda tylko chwilową — czerpie więc kiszkowate to państewko jedynie tylko ze swej specjalnej, a niechlubnej roli wysuniętej placówki sowieckiej oraz warownego rosyjskiego obozu, na który z roku na rok coraz bardziej się zamienia.

Tej roli więc muszą być posłuszni obecni rządcy Czech, zwanych Czechosłowacją chyba tylko przez krwawą ironję. Właściwie — jeśli pominąć pewne zewnętrzne formy i pozory — niema już dzisiaj państwa czeskiego w prawdziwem i uczciwem tego słowa znaczeniu, a jest w rzeczywistości tylko czesko-sowiecka republika federatywna, której rząd Sowietów pozostawił umyślnie jeszcze pewne formy demokratyczno-burżuazyjne oraz czesko-narodowe dla tem lepszego pełnienia perfidnych celów w centrum Europy, do których ma Moskwie służyć Praga.

Dlatego w naszych oczach, których bielmo „słowiańskiej" komedji na szczęście nie przysłoniło, tkwią już na Hradczynie

praskim i na poselstwie czeskiem w Warszawie flagi rosyjskie, tylko że ich jeszcze nie rozwinięto na widok publiczny, bo nie nadeszły jeszcze odpowiednie rozkazy z Moskwy. Ale to pewna, że herbowy lew czeski należy już do aktów, a rzeczywistym herbem państwa czeskiego jest już znak sierpa i młota pod czerwoną gwiazdą, A jeżeli byli dotąd jeszcze w Polsce jacyś tępo-uparci słowianofile, którzy, mimo wszystko, widzieli w Czechach „braci", to trzeciomajowy wyczyn pana Sławika winien nawet im otworzyć ostatecznie oczy na rzeczywistą rzeczywistość czesko-moskiewsko-bratersko-słowiańsko-bolszewicką!

Ale daleko ważniejszem dla nas zjawiskiem od takich i tym podobnych objawów polityki rozpaczy czeskich rządców i dyplomatów, upatrujących już ostatni swój ratunek w Moskwie za cenę nawet kompletnej bolszewizacji i sowietyzacji swego państwa, jest fakt, że Czerwona Moskwa, stwierdziwszy pewne — i to nawet bardzo wielkie! — trudności przedostania się do zachodniej Europy przez wał polsko-rumuńsko-węgiersko-jugosłowiańsko-niemiecko-włoski, okrążyła ten wał i uderzyła w Zachodnią Europę od tyłu, od Hiszpanji i Francji. No, Hiszpanja broni się przeciw tej inwazji i to zawzięcie. Mniej zato broni się przeciw niej Francja, którą błędna polityka p. Barthou, nastrojona samobójczo przez francuskich masonów i ich „ekspertów dla spraw wschodnich", to jest pp. Masaryka i Benesza, pchnęła na tory spokojniejszej, ale zato regularniejszej bolszewizacji.

Mniejsza już nawet o to, co donoszą gazety, rozmaicie — jak wiadomo — nastrojone, a zbyt często różnymi względami krępowane. Daleko ważniejszem jest to, co przywożą ze sobą wiarogodni świadkowie i obserwatorzy tego wszystkiego, co się we Francji dzieje.

Jesteśmy z nią niby w „odwiecznym sojuszu" i wobec tego „nie wypada" nam pisać źle o Francji. Bo to przecież tradycje napoleońskie, braterstwo broni, nowa, paromiljardowa — hm, hm... — pożyczka i t. d. Ale wolno i trzeba nam ubolewać szczerze nad tą Francją, w której następujące, między innymi, panują stosunki.

Oto — chwytając przykładowe ich ilustracje — znaczna część obecnego francuskiego gabinetu ministrów to Żydzi, albo b. Żydzi. Nie jesteśmy zawodowymi antysemitami i nie mamy wcale zamiaru jeździć na tym modnym dzisiaj koniku, nie mniej jednak pozwalamy sobie na skromne mniemanie, że czterdziesto-

miljonowy naród francuski, do niedawna jeden z czołowych narodów świata w najlepszem tego słowa znaczeniu, stać chyba na radę ministrów, złożoną z rdzennych Francuzów. Czyż naród ten — pod wpływem jakiejś bezbrzeżnej nieopatrzności i demagogji — upadł już tak nisko, że nie jest w stanie wyłaniać ze siebie własnych rządów, ale musi i pod tym także względem zapożyczać się u Żydów? Czyż już niema prawdziwej Francji, a tylko jakaś Frankopalestyna?

We francuskim korpusie oficerskim usuwa się systematycznie lepiej myślące elementy, zastępując je posłusznymi sympatykami coraz silniej bolszewizującego „frontu ludowego". Burzy się przeciw temu oczywiście patryjotyczniej myśląca część armji. A rezultat jest taki, że dzisiaj — jak twierdzą znawcy tamtejszych stosunków — armja francuska staje się coraz mniej zdolną do walki. Gdyby bowiem Francja miała walczyć po stronie jakiejś folksfrontowej koalicji czy idei, to dowództwo francuskie nie może być pewnem umiarkowanie i patrjotycznie myślących oficerów i żołnierzy. W razie zaś wojny po stronie jakiejś „prawicowej" koalicji czy idei w Europie grozi Francji niewątpliwe bunt skomunizowanego frontu ludowego.

Wszak doszło już do tego, że np. gdy wszelakie patrjotyczne, więcej umiarkowane francuskie organizacje młodzieżowe są krępowane i rozwiązywane, to dziesięciotysięczny pochód umundurowanej i uzbrojonej młodzieży komunistycznej odbywa się demonstracyjnie, w obecności ministrów, którzy na powitanie wyciągają w górę pięści zwyczajem rozpowszechnionym na świecie — jak wiadomo — przez bolszewików.

A teraz rozgorzała walka o obalenie nietylko religijnego, ale wogóle patrjotycznego kultu Joanny d'Arc. Niedawno jeszcze byli wszyscy Francuzi, nawet wrogowie Kościoła, przynajmniej na tym punkcie zgodni. Dziś akcja komunistyczna wywraca we Francji i ten ideał narodowy. Ale cóż dziwnego — wszak zastępuje ona na budującej się oficjalnej wystawie światowej w Paryżu państwowe trójbarwne chorągwie moskiewskiemi sztandarami sierpa i młota!!

Wobec takiego stanu rzeczy, czyż mogą dziwić takie „drobne" wypadki, że np. minister, asystujący przy jakiemś wielkiem zebraniu frontowo-ludowem, grożącem rozruchami, dostaje niespodziewane kopnięcie w odwrotną część ciała od jakiegoś robotnika komunisty, a stojący opodal wojskowy oddział garde mobile wcale na to nie reaguje. Nie przychodzi znieważonemu

4

dygnitarzowi z pomocą, nie aresztuje przestępcy. Bo widocznie w tym oddziale wojskowym poczucie francuskiego honoru jeszcze nie zaginęło i dlatego ci oficerowie i żołnierze na widok owego sportowo-politycznego wyczynu skomunizowanego robotnika względem napółskomunizowanego ministra pomyśleli sobie: „A niech tam, je m'en f.....!"

Ale rzecz inna, jak nisko przy tem autorytet władzy we Francji upada i jak — mimo linji obronnej Magineota, wpadać musi Francja w bezwład za przyczyną kolosalnej akcji kominternu i własnych, bezgraniczną demagogją zahipnotyzowanych masonów. Jeszcze organizm jest silny, ale już goni resztkami i dalsze ciosy, z szatańską genjalnością zadawane z Moskwy, położą — oby to się nie stało! — ten wspaniały naród u stóp moskiewskiego najeźdźcy.

To wszystko razem wzięte i pomnożone przez tysiąc i miljon współczesnych wypadków w Europie, odsłania coraz groźniejszy, coraz bliższy obraz bolszewickiego niebezpieczeństwa. Tu już niema żadnej „kwestji" drobnostkowych, podwórkowych różnic przekonań politycznych. Niema również żadnych kwestji demokracji czy reakcji. To naprawdę śmiertelne dla wszystkich niebezpieczeństwo, które się zbliża, już jest, już się gigantycznie rozrasta. A rośnie jedynie i wyłącznie tylko bezmyślną demagogją i głupotą narodów, uważających się niby za cywilizowane.

Nas oczywiście w pierwszym rzędzie Polska obchodzi. Jakże zabawne są u nas te wszystkie „różnice przekonań politycznych", które codzień wydymają się i rozchlastują po różnych gazetach partyjnych — wobec ogromu akcji bolszewickiej, toczącej się na świat cały z żelazną, perfidną konsekwencją i przy pomocy olbrzymich środków!

A czy wiesz, Polaku, razem ze swemi „przekonaniami politycznemi", na jaki to „wysiłek" zdobywa się społeczeństwo nasze — nie mówiąc o rządzie i policji — w walce z tym olbrzymim najazdem, który truje wszędzie dusze i dąży do poddania Moskwie całych państw i narodów bez jednego wystrzału? Oto, jak twierdzą znawcy, cały ten antybolszewicki wysiłek naszego trzydziestokilko-miljonowego społeczeństwa kulminuje w rocznym budżecie około sześciedziesięciu tysięcy złotych.

Plunięcie w ocean!

I to jeszcze w dodatku ów kieszonkowy budżecik, którym społeczeństwo spełnia niby swą „misję dziejową przedmurza

chrześcijaństwa", nie jest wcale zgodnie skoncentrowany w jakimś konsekwentnym kierunku, ale rozmaite instytucje i organizacje antybolszewickie kłócą się jeszcze między sobą i wzajemnie sobie przeszkadzają. A gdzie tylko wśród zdrowiej myślących żywiołów zarysuje się jakaś nieco konsekwentniejsza organizacja do jakiej takiej walki ze złem, to partje polityczne rzucają się z zaciekłością na każde takie zamierzenie, rozbijając je w imię różnych swych faryzejskich programów i spełniając przez to właśnie mimowoli, ale w najcudowniejszy sposób intencje kominternu.

Tak dalej nie idzie. Trzeba tej drobiazgowej łobuzerji, temu samobójczemu zaślepieniu kres położyć i dzieło walki z bolszewizmem we wszelkich jego przejawach, zwłaszcza w jego wewnętrzno-krajowych przejawach, celowo i potężnie zorganizować.